

NR 4 SIERPIEŃ 1993

ZYCIE

UNIwersyteckie



Impuls
z Francji

PRASA DLA WOLNOŚCI
WOLNOŚĆ DLA PRASY

CENA 3000 ZŁ

1000 ODWOŁAŃ

Było w lipcu

- 29 czerwca - 5 lipca - JM Rektor Jerzy Fedorowski przebywał w Ulm na zaproszenie władz tamtejszego uniwersytetu.
- 7 lipca - podpisanie aktu notarialnego w sprawie nabycia przez UAM budynku po Hotelu Pielęgniarek w Słubicach.
- 9 lipca - Senat żałobny w związku ze śmiercią prof. Marii Tyszkowej.
- 13 lipca - wręczenie nominacji nowym władzom wydziałowym w UAM.
- 15 lipca - rekonesans w Gułtowach - władze uczelni zwiedziły pałac, park i oficyny w związku z propozycją podarowania tych dóbr Uniwersytetowi.

- 19 lipca - trzecie spotkanie zainteresowanych stron w sprawie budowy Uniwersytetu na Morasku; wizja lokalna.
- 20 lipca - podpisanie kolejnego aktu notarialnego dotyczącego Ciążenia.
- 27 lipca - otwarcie nowego magazynu Archiwum UAM w podziemiach d.s. "Jowita".
- 29 lipca - wizyta JM Rektora Fedorowskiego w ambasadzie Chin.
- 30 lipca - początek 10-dniowego urlopu rektora Jerzego Fedorowskiego.

wi Erdősowi, wybitnemu matematykowi z Węgier.

- 3 sierpnia - podejmowanie delegacji Dolnej Saksonii z przewodniczącym sekretariatu stanu ds. federalnych i europejskich Frankiem Ebischem.
- 6 sierpnia - wizyta rektora uniwersytetu Talca w Chile Dr. Alvaro Rojas Marin.
- 13 sierpnia - zebranie międzyzwiązkowego zespołu ds. przydziału mieszkań służbowych przy ul. Kantaka.
- 15-20 sierpnia - X. Międzynarodowe Sympozjum Chemii Krzemorganicznej.
- 16 sierpnia - otwarcie X. Wakacyjnego Kursu Kultury, Historii i Języka Polskiego.

Będzie w sierpniu

- 2 sierpnia - uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa UAM prof. dr. Paulo-

ŻYCIE UNIWERSYTECKIE

UAM Poznań
Miesięcznik
Numer 4/93

Wydawca

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza,
Rektorat, ul. H. Wieniawskiego 1,
61-712 Poznań

Rada Programowa

Przewodniczący - prof. dr hab. Stefan Jurga (prorektor UAM), dr Krzysztof Borowczyk (z-ca dyr. Instytutu Nauk Politycznych i Dziennikarstwa), mgr Krystyna Sorbian-Góral (kier. Działu Kadr i Organizacji), doc. dr Jan Załubski (kierownik Pracowni Praktyki Dziennikarstwa przy INPiD) oraz Ewa Staniewicz (rzecznik prasowy Rektora UAM).

Redaktor naczelny

Ewa Staniewicz

Adres redakcji

60-567 Poznań, ul. Szamarzewskiego 89
blok A p. 39
Telefon
47 64 61 w. 340

Opracowanie graficzno-techniczne, skład komputerowy, korekta

Redakcja

Lamanie komputerowe i fotoskład

"Reproserwis", Poznań, ul. Bułgarska 10

Druk

Zakład Graficzny UAM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Numer zamknięto 30 lipca 1993 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych tekstów. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam.

Sekretariat redakcji czynny jest od poniedziałku do piątku w godz. 13 - 15.

Zapraszamy do wszechstronnej współpracy. Zachęcamy do zamieszczania reklam i ogłoszeń.

Nie opublikowany list władz UAM do "Gazety Wielkopolskiej"

Poznań, dnia 16 lipca 1993 r.

W nawiązaniu do notatek zamieszczonych w "Gazecie Wielkopolskiej", lokalnym dodatku do "Gazety Wyborczej" z dnia 12 i 13 lipca br., dotyczących Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i podpisanych inicjałami W.B., składam następujące wyjaśnienie, prosząc o jego publikację w miejscu i trybie przewidzianym dla sprostowań.

Rzecznik zawiedzionych polityków, W.B. z "Gazety Wielkopolskiej", znowu dał znać o sobie. Stwierdzamy z niesmakiem, iż niejaki "Fedorowski" z notatki pt. "BBWR na terenie Uniwersytetu. Bezpartyjny znaczy apolityczny?", to w istocie prof. dr hab. Jerzy Fedorowski, rektor UAM. Ponieważ dziennikarze "Gazety" od dłuższego czasu szukają dostępu do Uniwersytetu dla polityków, pragniemy im pomóc informując, iż na Uniwersytet są dwa wejścia: przez egzaminy wstępne i przez dział kadr. Innej drogi nie ma. Wprawdzie sugeruje jej istnienie dziennikarz "Gazety", ale sposób rozumowania W.B., podobnie jak styl jego wypowiedzi, odbiega znacznie od sposobu przyjętego na naszej uczelni za prawidłowy.

Fakty wyglądają następująco: Uniwersytet wynajmuje pomieszczenia od HCP na cele dydaktyczne. Po zakończeniu zajęć w roku akademickim 1992/93, do władz uczelni wpłynęła propozycja z Komitetu Wyborczego BBWR, aby udostępnić Komitetowi sale nie użytkowane w lecie przez UAM. Rektor Jerzy Fedorowski pismem z dnia 9.7.93 r. udzielił odpowiedzi odmownej, wyjaśniając iż umowa najmu zawarta między UAM a Cegielskim wyklucza możliwość podnajmowania pomieszczeń. Równocześnie stwierdził, iż nie widzi przeszkód, aby w okresie wakacyjnym, gdy Uniwersytet z sal nie korzysta, HCP zagospodarował je inaczej, odciążając UAM z placenia czynszu. Komu i za ile Cegielski w tym okresie przekaże pomieszczenia, jest sprawą, która uczelni nie dotyczy. Decyzja rektora Jerzego Fedorowskiego miała charakter wyłącznie ekonomiczny (zaoszczędzenie wydatków czynszowych) i była wyrazem gospodarności, a nie określonych sympatii politycznych.

Komentując notatkę "Bezpartyjnie znaczy tanio" można jedynie wyrazić na przyszłość życzenie, aby osoby trzecie, przed podaniem do publicznej wiadomości informacji o treści umów zawartych przez Uniwersytet, były uprzejme uprzedzić o takim zamiarze władze uczelni.

Prorektor

Prof. dr hab. Stefan Jurga

Archiwum przelotu wieków

Zadna uczelnia w Polsce, poza UJ, nie może się pochwalić tak obszernym archiwum, jakie wygospodarował ostatnio Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Nowe pomieszczenia w podziemiach d.s. "Jowita" przy ul. Zwierzynieckiej zajmują ponad 200 m kw. i mieszczą regały z 1173 m.b. półek. Oddanie ich do użytku podwaja powierzchnię magazynową Archiwum UAM. Lokalowo Uniwersytet jest przygotowany do swobodnego gromadzenia dokumentów archiwalnych przez najbliższych 12 lat.

Aktualnie UAM posiada wiele unikalnych zbiorów. Są one wykorzystywane dla celów naukowych; dostarczają również danych dotyczących ewidencji personalnej. Archiwiści Uniwersytetu ściśle współpracują z Archiwum Państwowym w Poznaniu. Pod względem wielkości zasobów - 200 m.b. - Archiwum UAM, jako jednostka uczelniana, zajmuje trzecie miejsce w kraju.

Powiększenie Archiwum jest efektem dobrej współpracy różnych jednostek organizacyjnych z władzami uczelni, w szczególności zdecydowania dyrekcji, zaangażowania Działu Technicznego i przede wszystkim - dynamiki i pomysłowości kierowniczkii d.s. "Jowita", Reginy Musielak.

Likwidacja dawnej rupieciarni i adaptacja piwnic akademika trwała rok. Archiwum mieści się 6 i pół metra pod ziemią; zastosowano w nim wentylację grawitacyjną. Obecnie trwa przebudowa. Zgodnie z zapowiedzią kierownika Archiwum, dr. Grzegorza Łukomskiego, teraz główne starania pójdą w kierunku unowocześnienia porządkowania i udostępniania zasobów, czyli - komputeryzacji.

E.S.

Wydarzenie na UAM

Obrady chemików z całego świata

W dniach 15 do 20 sierpnia br. odbędzie się w Poznaniu X Międzynarodowe Sympozjum Chemii Krzemooorganicznej, oczekiwane jako wydarzenie naukowe wysokiej rangi. Miejscem Sympozjum jest Uniwersytet im. Adama Mickiewicza.

Spotkanie zostało zorganizowane pod auspicjami Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej (IUPAC). Weźmie w nim udział około 400 uczonych i praktyków z 30 krajów świata.

Chemia krzemu, będąca relatywnie wąską specjalnością chemiczną, pochłania uwagę wielu zespołów badawczych, zarówno z ośrodków uniwersyteckich, jak i laboratoriów badawczych wielkich koncernów, żeby wymienić General Electric, Dow Corning, Rhone Poulenc, Union Carbide. Nic dziwnego, skoro krzem jest drugim po tlenie pierwiastkiem pod względem rozpowszechnienia w skorupie ziemskiej. Występuje zarówno w naturze, jak i w niezliczonych produktach współczesnej cywilizacji. Nowoczesne technologie nie mogą już obejść się bez przetworzonego krzemu (krzem półprzewodnikowy, karborund, silikony, materiały ochronne, nowe materiały o szczególnych właściwościach, nośniki dla potrzeb biotechnologii itp.). Bywa on określany jako pierwiastek przeszłości i przyszłości.

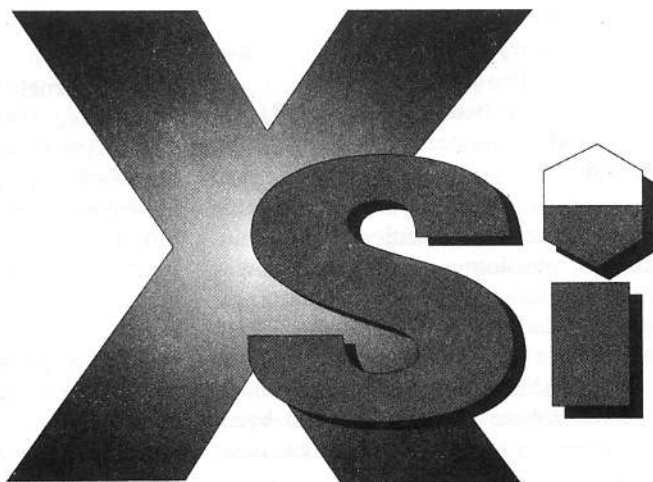
W programie poznańskiego Sympozjum przewidziano 4 wykłady plenaryjne w Auli UAM i 36 wykładów prozowanych oraz komunikaty ustne i prezentacje posterowe. Szczegółowe sesje będą się odbywać równolegle w trzech grupach zainteresowanych: polimery na bazie krzemu i nowe materiały, chemia fizyczna, teoretyczna i nieorganiczna oraz organiczne połączenia krzemu i krzem w syntezie organicznej.

Szczególnie interesująco zapowiada się wykład historyczny, który ma wygłosić nestor tej dziedziny nauki, Eugen Rochow z USA. Spodziewany jest również przyjazd Richarda Müllera. Świat chemii obchodzi w tym roku 50-lecie odkrycia syntezy nazywanej od ich nazwisk Müller-Rochow.

Obok programu naukowego, organizatorzy przewidzieli spotkania towarzyskie i imprezy artystyczne. Goście będą również mogli skorzystać z propozycji turystycznych.

Członkami Komitetu Honorowego Sympozjum są: Minister Edukacji Narodowej, prof. Z. Flisowski, przewodniczący Komitetu Badań Naukowych, prof. W. Karczewski, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk (chemik), prof. A. Bielański, wojewoda poznański W. Łęcki, prezydent m. Poznania W.Sz. Kaczmarek, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Chemicznego, prof. Z. Galus, przewodniczący Oddziału Poznańskiego PAN, prof. J. Stankowski oraz rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza prof. J. Fedorowski i dziekan Wydziału Chemii UAM, prof. A. Jarczewski.

Przygotowaniami do Sympozjum zajmował się zespół pod kierunkiem prof. B. Marcińca z UAM. Wszelkich informacji udziela sekretarz Komitetu Organizacyjnego, dr J. Guliński, tel. 659-651, 60-780 Poznań, ul. Grunwaldzka 6.



Nauka polska otrzymuje 1/4 środków niezbędnych dla jej utrzymania.

Znamiona katastrofy

Zdaniem polskich - i nie tylko - naukowców, nakłady na naukę w budżecie państwa powinny wynieść przynajmniej 2 procent produktu krajowego brutto (PKB). Tymczasem po II wojnie światowej nigdy nie osiągnięto w naszym kraju takiego poziomu.

Jak dotąd najbardziej korzystnymi dla nauki polskiej latami były: 1977, 1980 i 1986, kiedy to na potrzeby nauki przeznaczono po 1,6 procent PKB. (...) W 1992 roku nakłady budżetowe na naukę wyniosły 7,6 bln. zł, co stanowiło 0,62 procenta PKB. Na rok bieżący przewidziano 8,9 bln. czyli 0,56 procent PKB. Jeśli weźmie się pod uwagę przewidywaną stopę inflacji, to realne nakłady na naukę będą niższe o 20 procent w stosunku do roku ubiegłego.

Z tegorocznej sumy - 2 bln. zł przeznaczono na finansowanie wszystkich rodzajów projektów badawczych i około 1,6 bln. zł na prace badawczo-rozwojowe realizowane na zlecenie. Ponadto około pół biliona przewidziano na zakup aparatury badawczej, podczas gdy zgłoszone przez instytuty naukowe potrzeby w tej dziedzinie opiewają na sumę ponad 3 bln. zł.

Z przykrością trzeba stwierdzić, iż nakłady na naukę w naszym kraju odbiegają od średnich standardów europejskich i światowych. Dla porównania w 1992 roku w USA przeznaczono na naukę - 150 mld. dolarów, w Niemczech - 40 mld. dolarów, a we Francji - 30 mld. dolarów.

Nasi naukowcy spore nadzieje wiążą z Fundacją na Rzecz Nauki Polskiej, utworzoną w miejsce dawnego Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki. Fundacja działa i przeznaczyła już pierwsze kwoty na rozwój określonych prac naukowo-badawczych. Ponadto liczy się na to, iż naszą naukę wesprą zakłady przemysłowe - kwotą od 2 do 3 bln. zł.

W ubiegłym roku nauka dzięki własnej działalności uzyskała przeszło 3 bln. zł. Tę niebagatelną kwotę zarobiły w dużej mierze instytuty zakwalifikowane przez Komitet Badań Naukowych do kategorii C i D, a więc te, które nie są dotowane przez KBN. Jeśli instytuty te utrzymywały się przy życiu, to stało się to dzięki ich własnej działalności, różnym pracom i opracowaniom kupowanym przez przemysł.

Trzeba wreszcie dodać, iż naszej nauce w sukurs zaczyna przychodzić zagranica. Otrzymano m. in. 7 mln. ECU z Komisji Wspólnot Europejskich na restrukturyzację nauki. Po raz pierwszy uzyskano też możliwość składania wniosków bezpośrednio do programów finansowanych przez EWG. Polscy naukowcy uczestniczą także w pracach nad trzema projektami międzynarodowego programu EUREKA.

(Franciszek Malinowski "Finansowe cierpienia polskiej nauki" - fragmenty, w: "Przegląd Akademicki" nr 13/93)



Rozmowa
z dr. Marcinem
Krygierem
z UAM,
najmłodszym
doktorem anglistyki
w Polsce

Szóste piętro

- Zrobił pan doktorat, gdy koledzy z roku jeszcze nie obronili prac magisterskich. Ile czasu to panu zajęło?

- Magisterkę napisałem na czwartym roku. Nad doktoratem zacząłem pracować w dniu obrony dyplomu, a skończyłem w czerwcu.

- Czyli trwało to rok?

- Dziewięć miesięcy. Opierałem się na pracy magisterskiej. Dużo danych zebrałem wcześniej, co oszczędziło mi czasu.

- Ma pan teraz 23 lata?

- Jeszcze przez półtora miesiąca.

- Z czego pisał pan prace?

- Z historii języka angielskiego.

- A konkretny temat?

- Przechodzenie mocnych czasowników staroangielskich w słabe. W magisterce - do roku tysięczczterechsetnego...

- Do tysięczczterechsetnego? Skąd czerpał pan źródła?

- Nasza instytutowa biblioteka ma wszystkie materiały. Ponieważ Niemcy zawsze byli specjalistami w sprawach historycznych, mamy stare, dobre książki jeszcze z czasów Wilhelma. Materiałów jest dużo. Bardzo mi także pomógł profesor Fisiak, dzięki któremu ściągnąłem parę rzeczy nieosiągalnych w Polsce.

- Ale obok tego odbył pan jakieś pogłębione studia w Anglii? Czy wystarczyło polskich materiałów?

- Starczyło.

- Rozumiem, że praca doktorska stanowiła rozwinięcie tematu.

- Sam temat jest identyczny, trochę poszerzyłem ramy czasowe, z roku tysiąc czterechsetnego na tysiąc pięćsetny. Poza tym podążyłem śladami rzeczy, które mi się udało, aczkolwiek nieudolnie, wykryć przy pisaniu magisterki. Doktorat ma dwa razy większą objętość i jest zrobiony znacznie dokładniej. Trochę zmieniłem też wyjściowe założenia teoretyczne. Teraz, z perspektywy roku widzę, że w pracy magisterskiej wiele rzeczy już bym inaczej potraktował.

- To może będzie habilitacja? Jakie były reakcje na pana sukces i jak pan sam do tego podchodzi?

- To, co się zdarzyło, napawa mnie niepewnością, ja nie czuję się jeszcze doktorem, absolutnie. Widuję kolegów z Instytutu, którzy też nad doktoratami pracują, i to ładnych parę lat. Są to ludzie z wiedzą i z doświadczeniem. Mnie tak trochę szybko poszło, nie zdążyłem się jeszcze dobrze przyzwyczaić do bycia magistrzem, a znowu się zmieniły te literki przed nazwiskiem.

- Czy bardziej pasja badawcza, czy znajomość języka, co grało większą rolę w tak szybkim osiągnięciu tytułów?

- Znajomość języka, to jest podstawa w naszej dziedzinie.

- Ile czasu spędził pan w Anglii?

- W Anglii nie byłem. W zeszłym roku korzystałem z trzymiesięcznego stypendium w Galway, w Irlandii, i to wszystko.

- Jest pan Poznaniakiem?

- Jak najbardziej.

- Którą szkołę pan kończył?

- Najlepsze poznańskie liceum - dwiujętkę.

- Uczył się pan angielskiego w liceum, czy prywatnie?

- To było bardzo skomplikowane. Najpierw znalazłem się w "siódemce", Dąbrowce, i tam rozpocząłem naukę angielskiego. Uczylem się przez trzy lata, będąc w klasie o profilu biologiczno-chemicznym, jak u nas większość kandydatów na anglistykę, nie wiedząc czemu. Po trzecim roku stwierdziłem jednak, że medycyna przestała mnie pociągać, więc powiedziałem sobie - czemu nie angielski? Angielski mnie ciekawił, może odgrywało tu jakąś rolę zainteresowanie muzyką rockową, zawsze chciałem wiedzieć, co ci ludzie właściwie śpiewają. To był taki pierwszy impuls, a potem, jak

już zacząłem, to trzeba było kontynuować, więc przenieśliśmy się do "dziwiałki" na poszerzony angielski. Brałem też lekcje prywatne i chodziłem na kurs przygotowujący do egzaminu Cambridge First Certificate, który zdałem w klasie maturalnej. W konsekwencji wybrałem anglistykę.

- Czy miał pan kontakt z tym językiem w rodzinie?

- Żadnego. Wsparcie moralne, nic poza tym.

- Wystarczy chcieć?

- Do pewnego momentu. Potem jednak bardziej formalne szkolenie jest potrzebne. Żeby te wszystkie drobiazgi językowe wyszlifować, wyczelować, niezbędne jest kierownictwo na dobrym poziomie.

- Czy przed swoim sukcesem na uniwersytecie miał pan jakieś inne szczególne osiągnięcia?

- Dostyc dobrze mi się wiodło w ósmej klasie szkoły podstawowej. Nie chwalać się, byłem laureatem pięciu olimpiad przedmiotowych.

- Pewnie wszystkich możliwych?

- Żebym to ja pamiętał. Na pewno z polskiego, bo zająłem pierwsze miejsce, z matematyki i biologii. Chemia i fizyka, to już były trzecie lub czwarte miejsca. Potem w liceum trochę się rozleniwiłem, w każdym razie już takich sukcesów nie było. Miałem wyjechać na naukę do Anglii, wyjazd sponsorowało chyba UNESCO, ale nic z tego nie wyszło.

- Czy po doktoracie otrzymał pan jakieś propozycje wyjazdów, stypendiów?

- Znosi się na to, że wyjadę na trzy miesięczne stypendium do Szkocji, do Edynburga. A poza tym - cisza.

- Czy w Anglii jest ktoś zainteresowany pana pracą, wynikami badań?

- To jest rzecz wewnątrzuczelniana, jak do tej pory. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to mój doktorat w formie książkowej ukaże się w Niemczech.

- Jakie ma znaczenie naukowe?

- Recenzenci bardzo go chwala, uważają za znaczący wkład do rozwoju badań nad językiem. Mimo wszystko jednak informacja jest nadal ograniczona do obszaru polskiego.

- Kto jeszcze prowadzi tego typu badania?

- Sprawa była nie ruszona w skali światowej. Samą historię czasowników mocnych badano, ale pod kątem opisowym. Natomiast nikt dokładnie się nie zainteresował, dlaczego czasowniki mocne zaczęły przechodzić do kategorii czasowników słabych.

Czyli mówiąc ludzkim językiem, dlaczego zamiast alternacji samogłoskowych dla tworzenia czasu przeszłego czasowników nieregularnych typu write, wrote, written, gdzie mamy różne samogłoski dla wyrażenia różnych czasów, w pewnym momencie przyjęło się regularne dodawanie końcówki -ed, jak w work - worked. Nikt nie wyjaśnił, dlaczego ten proces zaszedł, bo to jest proces, który nie ma swojego odpowiednika na taką skalę w żadnym języku germańskim. Była jedna próba podjęcia tego tematu w 1910 roku, zajmował się tym Niemiec nazwiskiem Michelau. Ale wtedy trzeba było być naprawdę geniuszem, żeby osiągnąć wyniki, które by utrzymały swoje znaczenie do chwili obecnej.

- Skąd się wziął pomysł tematu?

- Temat zawdzięczam profesorowi Fisiakowi. Stwierdził, że jest to rzecz niezbadana, a odniósł wrażenie, że byłbym zainteresowany grzebaniem w starych książkach. Wtedy, dwa lata temu, ja sam nie byłem nawet w stanie ocenić wartości tej propozycji, niemniej wydała mi się interesująca i taką okazała się w istocie.

- To często ujawnia się dopiero w trakcie dociekań.

- Byłem wtedy po trzecim roku. Miałem zaliczony jeden rok historii języka angielskiego. To było praktycznie całe moje zetknięcie się z językoznawstwem historycznym. Miałem jednak doskonałych nauczycieli i oni także popchnęli mnie w tym kierunku.

- Czy uda się powiedzieć w sposób komunikatywny, do jakich wniosków pan doszedł?

- Jak myślę, tym co udało mi się odkryć, jest niewątpliwym wpływ języka francuskiego na język angielski. Uproszczenie języka nastąpiło po roku 1066, kiedy Wilhelm Zdobywca dokonał jedynej jak na razie udanej inwazji na Wyspy Brytyjskie. Język francuski na kilka stuleci stał się językiem dominującym w administracji, w sądownictwie, w literaturze. I po prostu kontakt ówczesnego języka angielskiego z językiem francuskim zainicjował przemiany językowe w Anglii, usuwanie czegoś, co z punktu widzenia Francuzów wydawało się nieregularnością. Trudno jest przesądzać, że istniał tylko ten jeden, określony powód. Wydaje się, że w niektórych okresach czasowniki, które kończyły się na określony rodzaj dźwięku, na przykład spółgłoskę zębową t lub d, były bardziej skłonne do poddania się temu procesowi. Natomiast sam bodziec wyjściowy - kontakt z językiem francuskim - wydaje mi się niezaprzeczalny. Chociaż w tym rze-

miośle niczego nie można być niestety pewnym, tym bardziej, że mówimy o zjawiskach, które miały miejsce tysiąc lat temu. Musi to pozostać w sferze bardziej lub mniej abstrakcyjnych dociekań, mimo że staramy się dotrzeć jak najbliższej prawdy.

- Czy miał pan zawsze takie poczucie, że nie ma dla pana rzeczy trudnych?

- Zawsze w łatwości uczyłem się języków. Nie miałem większych problemów z nauką. Chociaż przyznaję, że niektóre rzeczy były poza moimi zdolnościami pojmowania, co raczej wynika z podejścia do rzeczywistości. Na przykład absolutnie nie potrafiłem pojąć w matematyce geometrii trójwymiarowej. To było dla mnie coś abstrakcyjnego na taką skalę, że wprawdzie umiałem to, co było do nauczania, ale żebym dużo z tego rozumiał, to nie powiem. Jestem Poznaniakiem, więc może trochę praktycznym człowiekiem i na przykład fizyka z mojego punktu widzenia do niewielu rzeczy się przydaje, tak samo całki i funkcje matematyczne. Oczywiście, gdyby się uprzeć, to można takie zastosowanie znaleźć, ale dla mnie w okresie szkolnym były to problemy mniej lub bardziej bezużyteczne.

- A te, które pan badał?

- No właśnie. Spodziewałem się, że to pytanie padnie. Prawdę mówiąc opinia, że są to rzeczy, którymi się zajmują ludzie nie mający nic lepszego do roboty, nie jest pozbawiona racji. To prawda, że są to zagadnienia dość abstrakcyjne i że niewątpliwie bada się je dla własnej przyjemności. Niemniej widzę tu także pewne odniesienia do rzeczywistości. Badanie rozwoju języka pomaga nam zrozumieć, w jaki sposób działa nasz intelekt. Więc przyczynia się do poznania tajemnicy umysłu ludzkiego. Oczywiście w przypadku językoznawstwa historycznego ten związek jest dość odległy, tym niemniej istnieje, ponieważ poznając przyczyny i drogi zmiany języka w przeszłości, możemy z tego niejako ekstrapolować wnioski dotyczące możliwych zmian języka współczesnego. Czy był jakiś logiczny powód, że doszło do danej zmiany, czy jest to coś niezależnego od człowieka... W wielu przypadkach rozważania takie ocierają się o filozofię; jest w tym coś fascynującego.

- Czy pana ciekawi tylko język angielski, czy jest to szersze zainteresowanie - kulturą, historią? Co pana pociąga w Anglii?

- Przede wszystkim historia. Zawsze byłem zafascynowany wzrostem i upad-

➤ kiem wielkich imperiów, a Anglia jest klasycznym przykładem. Z niczego do wielkości, a co z tego zostało widzimy.

- Jakże ma pan teraz plany, oprócz wyjazdu do Szkocji?

- Zamierzam przede wszystkim trochę odpocząć. Niedawno zauważyłem, że od ponad dwóch lat jestem w ciągłym galopie. Oprócz tego chcę nadrobić rzeczy, na które nie starczało mi czasu w trakcie przygotowywania magisterki i doktoratu, i uczyć się tego, na co zawsze miałem ochotę. Widzę jeszcze mnóstwo luk w swojej wiedzy i muszę się z nimi uporać, jeżeli rzeczywiście chcę coś osiągnąć. Dlatego mam zamiar nie ruszać się z Poznania i zająć się moim językoznawstwem. Chcę też poćwiczyć języki, bo muszę przyznać, że niemiecki zaniedbałem ohydnie.

- Tym bardziej, że w Niemczech pana wydają...

- Dokładnie. Więc przez uprzejmość należałoby się przyłożyć. Poza tym językoznawstwo historyczne gdzieś do lat dwudziestych-trzydziestych było tworzone głównie przez Niemców. Starsze opracowania są pisane wyłącznie po niemiecku, jeszcze się należy cieszyć, jeśli nie gotykiem. Dla mnie jest to język nieodzowny.

- A projekty naukowe, czy będzie pan drażył ten sam temat?

- Trudno mi jest powiedzieć, naprawdę. W tej chwili cieszę się wolnością. Ale mam parę pomysłów na sprawy, które można by dogłębniej zbadać.

- Chciałby pan powiedzieć coś na ten temat?

- Niekoniecznie. Znowu musiałbym się wgrzyzać w abstrakcje, dla zwykłego śmiertelnika, podejrzewam, nudne i nie za bardzo zrozumiałe. Ale jest parę spraw, które mnie nurtują. Są to rzeczy zarzucone na ogół, nie zbadane. Przerobienie nowych ścieżek jest zawsze interesujące.

- Czuje się pan wybitny w swojej dziedzinie, czy w ogóle wybitny?

- Ja się absolutnie nie czuję wybitny... Na szóstym piętrze Novum mógłbym pani bez namysłu wskazać z dwudziestu wybitnych ludzi, naprawdę. Ja jestem dopiero początkującym, jeszcze nie naukowcem, lecz człowiekiem, który się tymi rzeczami interesuje. To wszystko, co mogę o sobie powiedzieć.

- Co pan najbardziej ceni w ludziach?

- Szczerłość. Nic mnie tak nie złości, jak te wszystkie konwenanse, które trzeba zachowywać, chociaż by się chciało najchętniej zrobić coś zupełnie innego.

- Miewa pan takie odruchy?

- Niekiedy. Złości mnie, że w znacznym stopniu jesteśmy skrepowani formami, dlatego trudno mi jest zawierać nowe znajomości. Ja dłuższy czas poświęcam na "wyczuwanie" danej osoby, zanim poweźmę opinię na jej temat.

- Jest stwierdzone, że ludzie wybitnie inteligentni często chodzą z głową w chmurach i kontakty społeczne mają raczej kiepskie. Czy pan u siebie coś takiego zauważa?

- Bywam odludkiem. Nie przeszkadza mi, gdy siedzę sam, nie mam kontaktu z ludźmi, tym niemniej przed nikim nie uciekam. Nie lubię bezsensownego gadulstwa, mówienia o niczym, co sprawia, że na przyjęciach nie jestem zbyt towarzyski. Nie potrafię wynajdywać błahych tematów, natomiast jestem dobrym słuchaczem.

- Jakże ma pan zainteresowania, oprócz naukowych?

- Pociąga mnie literatura fantastyczno-naukowa, lubię dobre książki.

- Rock?

- Rock, jak najbardziej.

- Tańczy pan, czy tylko słucha?

- Słucham. Jestem absolutnie pasywny.

- Czy zdarza się panu tracić czas na sprawy pospolite? Zna pan takie rzeczy, jak wielkie sprzątanie? Może ma pan ten komfort, że nie musi sobie tym zawracać głowy?

- Na szczęście mieszkam razem z rodzicami. Warunki wręcz idealne do pracy naukowej. Żony nie mam, dzieci też nie. Dom i rodzina nie pochłaniają mojej uwagi. No, są drobiazgi, które zauważam. Znosi się u nas na malowanie okien w tym roku. I przyznam się, że ze sprzątaniem też pani trafiła. Niewątpliwie te stopy papierysk warto byłoby uporządkować. Jeśli chodzi o rozrywki, to dla mnie rozrywką jest uczenie się języków. Jeden bierze hebel i struga deski, a ja biorę jakąś książkę po niemiecku i wynajduję słówka.

- Czy po zdobyciu tytułu zmieniły się pana kontakty z kolegami?

- Myślę, że nie, chociaż ta sytuacja trochę ich zdziwiła. Jeden kolega zauważył żartem, że gdy on nie może obronić magisterki, ja jestem już doktorem. Ale miałem inny problem. To mnie trudno było przejść na stopę koleżeńską z ludźmi, którzy dwa-trzy lata temu byli moimi nauczycielami.

- Nie jest pan beniaminkiem szefa? Jakże dostał pan zadania jako asystent?

- Praktycznie dydaktykę, osiem godzin tygodniowo.

- Przy rekrutacjach oszczędzono pana?

- Nie oszczędzono, ani trochę. Byłem sekretarzem komisji rekrutacyjnej na studiach zaocznych. Skończyłem wszystkie sprawy związane z rekrutacją dwa dni przed obroną doktoratu. To był miesiąc dosyć koszmarniej pracy papierkowej.

- Żadnej ulgi?

- Nie, to po prostu wchodzi w skład naszych obowiązków służbowych. Jest zwyczaj, że raczej młodszy pracownicy się tym zajmują. Trudno wymagać od zabieganego profesora, żeby jeszcze brał sobie na głowę teczkę stu pięćdziesięciu kandydatów. Akurat padło na mnie, ale byłem w o tyle szczęśliwej sytuacji, że dostały mi się studia zaoczne, a nie dzienne, gdzie odpowiedzialność większa i koszmarniejsza i kandydatów znacznie więcej.

- Czy nie ma pan wrażenia, że wielu kolegów i koleżanek mogłoby zrobić to samo co pan: napisać magisterkę, pójść za ciosem i doktorat?

- To jest absolutnie dla każdego.

- Dlaczego tego nie robią?

- Wydaje mi się, że to trochę wynika z oceny tego, co mają dać ludziom studia. Bo większość przychodzi z takim zamiarem: wyszlifować sobie angielski w najlepszych warunkach, jakie w tej chwili istnieją w Polsce, i potem niech to gdzieś procentuje w pracy. Jedni chcą tłumaczyć książki, inni pracować dla biznesu. Część dziewczyn widzi siebie w roli sekretarek. Nie ma to być oczywiście taka sekretarka, która dobrze wygląda na tle polityry, tylko współpracownica szefa raczej. Inni myślą o nauczycielstwie. Ale są też oryginały, których pociąga praca naukowa. Trzeba przyznać, że kierownictwo naszego instytutu jest bardzo wprawione w wychwytywaniu takich ludzi. Nie każdego to nęci, bądźmy szczerzy. Strona finansowa wręcz odstrasza. Ja jestem w łatwej sytuacji, bo mieszkam u rodziny i nie muszę się tym przejmować.

- Czasami nie można sobie zaplanować życia aż tak. Ale dla pana wszystko szczęśliwie się składa.

- Jak na razie.

- Czy coś dodać?

- Wydaje mi się, że byłoby uczciwie wspomnieć, iż bez warunków stworzonych w moim instytucie, bez bardzo życzliwego promotora, który mnie pchał ze wszystkich sił do szybszej magisterki i do doktoratu, to co zrobiłem byłoby absolutnie niemożliwe.

- Czyli szóste piętro?

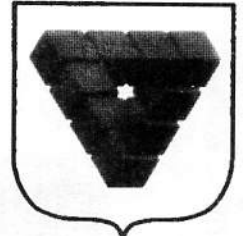
- Szóste piętro, tak.

Rozmawiała EWA STANIEWICZ



Impuls z Francji

Za telematykę waszą i naszą



Wystarczy się przed ekranem i wystukać z klawiatury numer telefonu. Sześć i pół miliona użytkowników MINITELA we Francji załatwia w ten sposób takie codzienne sprawy, jak wyszukiwanie numerów telefonicznych innych abonentów, rezerwacja hoteli i biletów lotniczych, sprawdzanie informacji maklerskich, czy nawet regulowanie płatności bankowych, nie mówiąc o korzystaniu z profesjonalnych baz danych.

Mają do wyboru 16 tysięcy możliwości, 16 tysięcy ofert różnych usług, bo tyle na razie uruchomiono serwerów, zarejestrowanych przez France Telecom, odpowiednik polskiej telekomunikacji. Dostarcycielem informacji może być każdy, kto posiada komputer zarządzający tą informacją i kto podpisał kontrakt w sprawie jej upowszechnienia z właścicielem sieci telefonicznej. Założenie własnego serwera interesuje nie tylko instytucje publiczne, ale również liczne firmy prywatne. W efekcie MINITEL zostały objęte praktycznie wszystkie dziedziny życia. Korzystać może każdy abonent telefoniczny, także - w ograniczonym zakresie - poza granicami Francji.

Rozpowszechnienie sieci we Francji spowodowane jest prawdopodobnie faktem, iż końcówki - terminale zakładane są przez telekomunikację za niską opłatą wszystkim abonentom. Pierwotną intencją było zaoszczędzenie kosztów związanych z drukiem książek telefonicznych, które abonenci otrzymują tam za darmo. Informacja przesyłana jest przy pomocy transmisji pakietowej danych, co umożliwia obniżenie i ujednoczenie kosztów na terenie całego kraju. Organizacja sieci przyniosła telekomunikacji francuskiej spodziewane odciążenie finansowe.

Koszt połączeń, jaki ponoszą użytkownicy, jest różnicowany - od darmowych informacji czerpanych z instytucji życia publicznego, poprzez tanie usługi, po drogie informacje z komercyjnie działających baz danych.

Na razie właściwie tylko Francja dorobiła się systemu funkcjonującego z takim rozmachem. W innych krajach Zachodniej Europy występują systemy wyspecjalizowane w obsłudze przedsiębiorstw. W ramach prywatnych użytkowników pozostaje na ogół nieznaczna liczba serwerów.

Czy i w jakim zakresie podobny system miałby zastosowanie i perspektywy rozwoju w Polsce? Z technicznego punktu widzenia, tam gdzie działają telefony nie ma problemów z tworzeniem podobnej sieci. W

stadium organizacji znajduje się sieć transmisji pakietowej POLPAK. Z pewnością jednak istotniejszy jest impuls intelektualny, związany ze współpracą polskich i francuskich naukowców w nowej dziedzinie wiedzy, której na imię telematyka.

Dr. hab. Zygmunt Vetulaniego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pochłaniają badania związane z lingwistyką komputerową, w szczególności poszukiwanie dostępu do informacji zarządzanej przez komputer przy wykorzystaniu języka naturalnego. Dąży do rozwiązań, które pozwolą polskiemu użytkownikowi formułować pytania pod adresem komputera zaprogramowanego w języku polskim. Badania te prowadzi od lat, są one kontynuowane w ramach nowopowstałego Zakładu Lingwistyki Informatycznej i Sztucznej Inteligencji, którym kieruje na wydziale Matematyki i Fizyki. Gdy na uniwersytecie Paris 7 zetknął się po raz pierwszy z telematyką, która powstała na pograniczu informatyki i telekomunikacji, uznał, iż środowisko telematyczne jest doskonałym polem zastosowań lingwistyki komputerowej, która stanowi przedmiot jego badań. Obecnie twierdzi, iż rzeczą niedalekiej przyszłości są usługi komputerowe w systemie MINITELA lub innym podobnym, z językiem naturalnym jako środkiem porozumiewania się użytkownika z systemem.

Z kolei zainteresowania naukowe dr. Vetulaniego zostały podjęte przez naukowców francuskich, prof. Gilberta Sola i jego współpracownika, Alaina Dalbavie. Prof. Sol jest kierownikiem wysoce cenionego studium podyplomowego DESS "Applications de la Télématicque". W ramach Paris 7 studium kształci stypendystów w dziedzinie zastosowań telematyki, szczególnie jeśli chodzi o wykorzystanie sieci MINITELA. Absolwenci nabywają umiejętności w zakresie projektowania, uruchamiania i konserwacji sieci i jej urządzeń. Wspomniany również Alain Dalbavie jest autorem projektu uruchomienia studium telematyki na uniwersytecie w Poznaniu. Projekt powstał jako praca dyplomowa obrotowa w Paris 7 w 1992 r. Między uniwersytetami w Poznaniu i Paryżu powstały plany współpracy, dotyczące przygotowania, przede wszystkim dla polskich potrzeb, absolwentów obznajomionych z nową technologią.

W roku 1993 dwoje pierwszych studentów UAM, stypendystów rządu francuskiego, uzyskało w Paris 7 dyplom DESS. Magdalena B. i Jacek M. odbyli studia indy-

widualne pod kierunkiem profesorów Vetulaniego i Sola. Efektem są podwójne prace dyplomowe w językach polskim i francuskim i dwa równorzędne dyplomy. Dr. Vetulani nie narzeka na brak kolejnych chętnych. Kandydatów można wybrać spośród studentów IV i V roku matematyki. Wszystko wskazuje na to, że będą oni prekursorami telematyki w Polsce.

Hasło "Telematyka" na wspólnym stoisku targowym Paris 7 i UAM podczas tegorocznych MTP w Poznaniu brzmiało jeszcze, jakby zostało przeniesione ze sfery science fiction. Wystawców interesowało głównie potencjalne zapotrzebowanie na sieć typu MINITEL w Polsce. Był to zatem bardziej sondaż niż oferta - kto wyraża zainteresowanie, jakie pojawiają się pytania i uwagi. Niektórzy handlowcy, znający MINITEL i przyzwyczajeni do nowoczesnej techniki pracy, informowali się, czy z Polski można się podłączyć do francuskich baz danych. Linia telefoniczna zainstalowana na uniwersyteckim stoisku targowym świadczyła, że przeszkód technicznych nie ma. Ponosząc jedynie koszt połączenia telefonicznego, można było korzystać z różnych usług informacyjnych, dostępnych dla przeciętnego Francuza.

Współpraca telematyków polskich i francuskich zaowocowała również programem promującym poznański uniwersytet: Jacek M., wraz z kolegami ze swojej grupy studenckiej, przygotował w ramach zajęć akademickich w Paryżu informację o UAM, z której potencjalnie może obecnie korzystać 6 i pół miliona użytkowników MINITELA we Francji.

(E.S.)

Telematyka - dziedzina nauki, która powstała na pograniczu informatyki i telekomunikacji.

TELETEL - francuski system elektroniczny, który służy do wszechstronnego przekazywania informacji za pośrednictwem sieci telefonicznej.

SERWER - komputer zarządzający informacją, która jest rozpowszechniana na mocy kontraktu zawartego między dostarczycielem informacji a właścicielem sieci telefonicznej.

MINITEL - terminal, mały wyspecjalizowany komputer w obudowie integrującej ekran i klawiaturę, który podłącza się do gniazda telefonicznego. Ma wbudowany modem, dzięki któremu sygnał może być przesyłany przez sieć telefoniczną.



Na zdjęciach: Korytarze WNS, jednego z najbardziej obleżonych wydziałów UAM. O przyjęcie na psychologię i politologię ubiegało się po 6 kandydatów na jedno miejsce. Jedni obgryzali paznokcie, inni - jak widać. Lecz czy wielu było stać na taki dystans, jak para siedząca na ławce?

1000 odwołań

Na studia stacjonarne w UAM przyjęto 3269 osób. Zgłoszenia napłynęły z całej Polski. Przyjeżdżała młodzież z Żywca, Białego Dunajca i Białegostoku, z Częstochowy i Szczecina. Nie zdało 1831 kandydatów. Z braku miejsc odrzucono 2721 podań. Zainteresowani mogą się odwoływać do 15 sierpnia.

Do końca lipca wpłynęło 1000 odwołań. Dla Działu Nauczania nie ma wakacji. Nie zamykają się również drzwi w rektoracie. O szansach kandydatów wiele mówi fakt, iż wydziałowe komisje rekrutacyjne

wykorzystały przyznane limity miejsc w stu procentach.

Na studia zaoczne, z wyjątkiem prawa, zgłosiły się 2634 osoby. Do egzaminu przystąpiło 300 osób mniej. Przyjęto 949.

Z tytułu opłat za egzaminy wstępne do kasy Uniwersytetu wpłynęły ponad 2 mld zł.

O możliwość studiowania w Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie n. Odrą ubiegały się 184 osoby. Zdało egzamin 136 i tyle zostało przyjętych: na ekonomię ogólną - 30, na ekonomikę

przedsiębiorstwa - 60 i na kulturoznawstwo 46.

Do końca lipca trwał nabór studentów na odpłatne studia zaoczne wydziału prawa. Podstawą otrzymania indeksu jest tam złożenie podania i opłata 4 mln zł wpisowego.

1 września zaczną się uzupełniające rekrutacje na niektóre kierunki filologiczne: klasyczny, rosyjski, rosyjsko-angielski, rosyjsko-ukraiński i bułgarski oraz do studium pracy socjalnej, gdzie nie wykorzystano limitu miejsc. Podania można składać do 20 sierpnia.

P. 1

III WAKLEJAC





MARIA BARANOWSKA z ZATRYBÓW

Echa powstańczej Warszawy

W owych tygodniach Powstania kalendarz przestał istnieć. Dni straciły nazwy i liczby, czas mierzyło się godzinami strzelaniny i ataków, przerwami pomiędzy hukami bomb i rykiem "krów", które działały z regularnością zegarka.

Budząc się w nocy - po nasileniu i rodzaju strzelaniny można było określić godzinę, ale który to był dzień tygodnia czy miesiąca - na to odpowiedź była o wiele trudniejsza.

W naszym zaułku otoczonym domami, lecz jednocześnie narażonym na obstrzał ze wszystkich stron - wrzało życie.

W każdej z bram, patrzących z góry na Powiśle, były barykady. Ziemia, płyty chodnika, worki z piaskiem - wszystko to spiętrzone służyło naszej obronie. Na każdej z barykad dniem i nocą czuwały posterunki.

Błdzi, wychudzeni mężczyźni w cywilnych ubraniach, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, z jednym granatem w rękę a drugim w kieszeni - strzegli szpitala. Bo naokoło byli Niemcy: na Obożnej i na Dynasach, na Krakowskim Przedmieściu, przy kościele św. Krzyża i na Uniwersytecie. I za naszymi plecami

mi, na mostach, w Alei 3-go Maja i na Wybrzeżu Kościuszkowskim.

Dzień w dzień wczesnym rankiem na małym placu przed szpitalem zbierała się grupka kilkudziesięciu powstańców na apel i musztrę. Po pieśni "Kiedy ranne" - odśpiewanej zgodnym chórem - rozpoczynały się ćwiczenia, które, gdyby nie tragizm sytuacji, wzbudzałyby huragany śmiechu. Pełni zapału, ale nie mający żadnego przeciwieństwa chłopcy, wyczyniali dziwy ze swymi ciałami. Na komendę "W prawo zwrot!" każdy obracał się w inną stronę. Lecz gdy padło hasło "Do ataku", ta niesforna i zdało się niezdatna garstka szła z furią, ściskając w rękach granaty.

Z "wypadów" wracali, wlokąc zawsze za sobą jakichś rannych, lecz niejednokrotnie zwycięscy, osiągnąwszy zamierzony cel. Dźwigali nieraz zdobytą broń i amunicję, jakieś przedziwne maszyny, "miotacze ognia", którymi później znów ćwiczyli na placu.

Ruch w naszym zaułku był wielki! Tu, w ogromnych nowoczesnych blokach domów, mieściły się sformowane "ad hoc" najrozmaitsze powstańcze komitety. Tu przychodziły

Niedawno ukazała się w PIW-ie kilkutomowa monografia "Exodus Warszawy. Ludzie i miasto po powstaniu 1944", przygotowana przez Muzeum Historyczne m. st. Warszawy. Tom pierwszy zawiera m.in. osobistą relację Marii Baranowskiej z Zatorybów ps. Adela, wówczas 34-letniej tączniczki i sanitariuszki AK, zamieszkałej na Powiśle. Autorka, z wykształcenia polonistka i nauczycielka, pięknym literackim językiem opisuje dzieje powstańczej tułaczki, jaką przeżyła wraz z matką i 7-letnią córką, Basią. Po wojnie rodzina osiedliła się w Wielkopolsce, najpierw w Lesznie, a następnie, już na stałe, w Poznaniu. Niestety autorka wspomnień nie doczekała momentu publikacji; zmarła na 3 tygodnie przed wydaniem książki. Bardzo nad tym ubolewa rodzina, która znała szczególne przywiązanie pani Baranowskiej do dziejów powstańczych i pamięta je z częstych ustnych przekazów.

Na Uniwersytecie w Poznaniu od 4 lat pracuje wnuczka byłej sanitariuszki warszawskiej, a córka "małej" Basi, pani Joanna Nowak. Widujemy ją lub słyszymy jej głos, załatwiająca rozmaite sprawy w rektoracie. Z wykształcenia jest prawniczką, z zamiłowania trampem - właśnie wybiera się z rodziną na urlop na wyspę bezludną, którą udało jej się odkryć w Polsce. Sama wrażliwa i delikatna, była bardzo przywiązana do swojej dzielnej babci. Przechowuje maszynopis jej pełnych wspomnień z powstańczej Warszawy. Właśnie stamtąd pochodzą relacje, które w tym numerze publikujemy.

Na zdjęciu: pani Joasia.

setki pogorzalców i wyrzuconej z innych dzielnic Warszawy ludności, a ogromne domy przegarniały gościnnie. Tędy wreszcie biegła "droga" z ulic Kopernika, Obożnej i Sewerynowa - na Tamkę, gdzie pod nr 46 mieścił się jeden z oddziałów sztabu AK.

Od rana do wieczora snuły się więc grupy cywilów i powstańców, kobiet i dzieci. Dzieci całymi gromadami bawiły się w słoneczne dni na tym na pozór bezpiecznym placu. Takie to były ranki!

Południa były jeszcze gwałtowniejsze. Do nieustannej wrzawy ludzkiej, do stałego stukotu strzałów karabinowych i huku niedalekich bomb - dołączał się głos radia. Radio - to był nieomylny znak wolności - nareszcie po pięciu latach milczenia znów odezwał się jego głos. Na ulicach, w miejscu "szczekaczek", odzywały się komunikaty z Londynu. Mówiły one długo i szczegółowo o sytuacji na froncie zachodnim, a także o tym, że wojska sowieckie są o 50 km. od Krakowa - lecz milczały jak zakłute o froncie podwarszawskim. Rozpływały się nad męstwem, dzielnością, bohaterstwem powstańców i całej ludności Warszawy... Śpie-

wano nam co dnia "Chorał" - "Z dymem pożarów...", jak marsz żałobny nad trupem żyjącego jeszcze przecież miasta - lecz o pomocy milczano wytrwale... Ludzie gnani co dzień nieokreśloną nadzieją pod głośniki radiowe - odchodzili osowiali, zawiedzeni. Aż wreszcie "Barykada Powiśla" bluznęła wierszem zjadliwym i gorącym. "Ducha nam starczy dla nas - i starczy go dla was - oklasków też nie chcemy - żądamy amunicji!..." - krzyczał rozpaczliwie powstańczy poeta...

Myślę, że gdybym "chodziła luzem" w czasie Powstania, przeżyłabym i widziałabym więcej, miałabym obraz szerszy, wielostronny. Lecz szpital pochłaniał do dwudziestu godzin pracy, a były okresy, gdy sypiałam godzinę lub półtorej na dobę. Toteż mój obraz Powstania był niepełny, jednostronny, skąpy. O triumfach i zwycięstwach słyszałam tylko z daleka. To, na co patrzyłam - to były rany, ból, śmierć. Przynosiły je zarówno zwycięstwa, jak i klęski.

Po największym nawet zwycięstwie pozostawali przecież ranni i zabici. Do naszego szpitala przynoszono rannych z najbliższych punktów walki - z Uniwersytetu, który atakowany parokrotnie nigdy nie został zdobyty przez powstańców, a był bardzo ważnym punktem strategicznym, gdyż z niego Niemcy mieli ostrzał na całe dolne, północne Powiśle. Przynoszono rannych z kościoła św. Krzyża oraz kościoła św. Teresy na Tamce i z elektrowni, której obrona pochłonęła wiele ofiar. Mnóstwo osób cywilnych i dzieci zostało rannych na ulicy, lub w walących i palących się domach.

Ranni... Zżyłam się z nimi i przywiązałam szczerze, serdecznie... Początkowo znałam tylko pseudonimy. Potem, po powrotnym dostaniu się w ręce Niemców, niektórzy ranni podawali nam swoje nazwiska, celem zawiadomienia rodzin.

Pamiętam tych pierwszych. W jednej z małych salek leżało trzech młodych chłopców: "Geniek", dwudziestoletni blondynek z postrzeloną nogą. Miał ją jeszcze w gipsie, gdy przed wkroczeniem Niemców odszedł z powstańcami do Śródmieścia. Drugi, "Wojna", ranny w plecy, w rękę i w nogę, rzucony przez Niemców do płonącego domu, wyczołgał się z niego, skrył się w publicznej ubikacji, gdzie odnalazł go ktoś z Polaków i przyniósł do nas. Jeszcze w sierpniu odszedł na Smulikowskiego. Trzeci z nich, samotny, bez rodziny, ranny w nogę, dla szpitala zbyt zdrowy, dla wojska zbyt słaby - zginął wkrótce.

Oprócz młodzieży byli również ludzie dojrzały, a nawet starzy. "Akacja" i "Strzelec" - dwaj robotnicy należący do AK, "Marynarz" - ranny odłamkiem pocisku w tchawicę, "Kolejarz" - umierający 70-letni człowiek.

Było również mnóstwo dziewcząt. Dnia 3-go sierpnia po południu przyniesiono z kwatery na Sewerynowie młodszą, 17-letnią łączniczkę "Marysię". Została ranna w pierwszych godzinach powstania, 1 sierpnia. Odłamek bomby zdruzgotał jej nogę w kostce, tak, że groziła amputacja. Jedynie brakowi odpowiednich narzędzi chirurgicznych zawdzięczała uratowanie stopy. Nie mogąc dokonać amputacji, lekarze zmuszeni byli zapobiec gangrenie - i jakoś wyleczyli nogę. Zaprzyjaźniłam się z "Marysią" w czasie powstania - i przyjaźń ta przetrwała wiele lat.

Pewnego dnia przyniesiono do szpitala matkę z dwójkiem dzieci. Miła, spokojna, prosta kobieta tuliła ośmiomiesięczną córeczkę i leżąc

na noszach, na korytarzu, niespokojnym wzrokiem szukała wśród rannych swego syna. Mały, 10-letni Tazio, spoczywał bledziutki, lecz spokojny, nawet siłąc się na uśmiech. Miał nogę poszarpaną w strzępy. Sześć ran, sześć sączków. Przy operacji robionej "na żywo", bez znieczulenia - nawet nie zapłakał. Leżał potem w jednym pokoju z matką, cichutki, nie przyczyniający sobie kłopotu, i tak cichutko zmarł w nocy z upływu krwi.

W jednym z pokoi leżała kobieta, może 30-letnia. Miała w brzuchu małą ranę wielkości 10-cio groszówki. Wiedziałyśmy, że jest to rana śmiertelna. Kobieta, łączniczka AL, pozostawiła w domu czworo małych dzieci. W gorączce cały czas mówiła tylko o nich, wyrwała się z łóżka, usiłowała wstać, błagała, aby puścić ją do nich. Pozostały gdzieś w okolicach Woli. Dotarcie tam było niemożliwe - Wola w tym czasie była już zlikwidowana. Żadna z nas nie miała odwagi powiedzieć tego rannej. Podtrzymywałyśmy w niej nadzieję, że za parę dni będzie mogła iść do dzieci. Kłamałyśmy z pełną świadomością. Po dwu dniach kobieta zmarła. Nie chciała powiedzieć swego nazwiska, ani nawet pseudonimu.

Ponieważ mieliśmy bardzo mało środków do narkozy, używano ich tylko przy poważnych operacjach. Lżejsze zabiegi, nie zagrażające życiu rannego, wykonywane były bez znieczulenia, lecz wtedy pielęgniarki asystowały lekarzom, przytrzymując pacjenta, aby nie szarpał się pod wpływem bólu. We wrześniu, gdy brakowało nam lekarzy - sama wykonywałam zabiegi wygrzebywania z ran kawałków potrzaskanych lub próchniejących kości.

Długo jeszcze prześladował mnie zaduch, swąd palących się domów, syk i dudnienie ognia...

Dotąd Niemcy działali z dokładnością zegarka. Rano od 6-ej do 8-ej naloty bombowców, następnie krótka przerwa na śniadanie. Potem ataki czołgów, wypadki oddziałów z miotaczami ognia, strzelanina z karabinów maszynowych. Około 14-tej przerwa na obiad - a następnie znów naloty bombowców oraz uruchomienie miotaczy min.

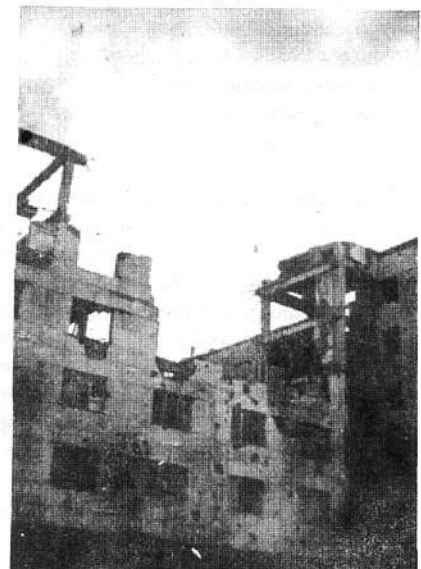
Uderzenie takiej miny "sadzało" wielopiętrową kamienicę aż do piwnic. Przed rozlewającą się rzeką ognia z miny zapalającej - nie było ucieczki. Poparzeni fosforem byli skazani na śmierć. Ciała mieli spalone do kości, rany nie do uleczenia. Umierali szybko lub powoli, zależnie od stopnia poparzenia.

Sierpień dobiegał końca i krąg walki zaczął się zacieśniać wokół nas. Pewnej nocy ogień objął dolne Powiśle - tuż pod nami. Dymy dusiły nas, a języki ognia strzelały do stóp domów wznoszących się na skarpie. Pociski raz po raz trafiały w kamienicę od strony ulicy Bartoszewicza, z okien wylatywały szyby. Rannych zaczęliśmy przenosić do piwnic i schronu.

Dnia 2-go września padło Stare Miasto. Rano przedostały się do nas grupy powstańców, którzy



Od góry: Maria Baranowska z 5-letnią córką Basią; Warszawa, kwiecień 1942 r. Niżej: powstańcy VIII Zgrupowania Powiśle przy ul. Smulikowskiego 2/4; sierpień 1944 r. Twarze celowo zatarte, aby uniemożliwić identyfikację. Na dole: zburzony budynek przy ul. Konopczyńskiego 5/7; 1944 r. Fotografie pochodzą z prywatnego archiwum pani Baranowskiej, obecnie będącego w posiadaniu rodziny.



przeszli kanałami ze Starówki. Siedzieli na brzegu chodników wychudzeni, bladzi, brudni, głodni... Zostali umyć, przebrani, nakarmieni i natychmiast powędrowali do Śródmieścia.

Od rana, dnia 3-go września Niemcy rozpoczęli ostry atak na Powiśle północne. Przestali być systematyczni!

Naloty bombowców, strzelanina z karabinów maszynowych, ataki czołgów - trwały bez przerwy. Jedyne "krowy" nie waliły w nas. Zdecydowano, że wszyscy ranni zostaną przeniesieni do schronu przeciwlotniczego, który mieścił się dwa piętra poniżej parteru kamienicy 5/7. Rannych mieliśmy 180 mężczyzn, kobiet i dzieci - a wśród nich zarówno cywilów, jak i żołnierzy AK i AL. W schronie ustawiono drewniane, piętrowe prycze, na których kładziono bez podziału mężczyzn i kobiety w jednych pomieszczeniach. Składały się one z trzech większych sal, kilku małych komórek i bocznych korytarzy.

Dnia 6-go września, po nocy spędzonej z matką i Basią we wnęce pod schodami, obejmując mój dzienny dyżur. O godzinie 7.30 przybiega sanitariuszka z wiadomością, że nasi chłopcy wycofali się już z ul. Smulikowskiego i są na Tamce lub na ul. Topiel.

Zrozumiałam. Nasze oddziały wkrótce opuszczą Powiśle, a my wpadniemy w ręce niemieckie. Gdyby choć pożegnać się z najbliższymi, którzy odchodzą. Zwolniwszy się na pół godziny u siostry oddziałowej, wybiegłyśmy na ulicę. Tamka, tak ruchliwa zwykle - tym razem jest prawie pusta. Jedyne powstańcy przesuwają się pod murami pojedynczo lub w małych grupach. Biegniemy w dół, usiłując przedostać się na ulicę Topiel. Karabiny terkoczą, obstrzał wzmaga się.

Wędrownka nasza trwała zaledwie 20 minut. Przez ten czas - sale zapełniły się rannymi. Nie ma ich gdzie kłaść. Poruszamy się w salach z trudnością - nie ma gdzie postawić stopy - wszędzie leżą ranni. Niektórzy jęczą, inni proszą o wodę, której jest tak mało.

Dostaje mi się do opatrzenia młody, 16-letni chłopiec - "Jacek". Jest ranny w nogę, w rękę i ma kilkanaście drobnych odłamków w plecach. Z żołnierza stał się nagle dzieckiem i prosi łamiącym się głosem o łagodny opatrunek "żeby nie bardzo bolało". "Cicho synku - uspokajam go - nie będzie bolało". Gdy robię mu opatrunek, stojąca na stoleczku świeca przewraca się na leżące tam bandaże, które zapalają się. Gaszę szybko ten mały pożar.

Nagle robi się cicho. Poprzez siedem pięter wznoszących się nad nami, poprzez żelazo-betonowe mury, słyszemy głuchy, złowrogi warkot, narastający nieustannie. Ostry, przenikliwy gwizd pikowania, głuchy szum lecących bomb i ... Wszyscy mimo woli pochylają głowy. Trzask walących się murów i straszliwy pył... Schron jakby uniósł się nad nami w górę - i opadł. Ciemność zupełna, gasły wszystkie lampy karbidowe i świece.

To pierwsza bomba trafiła w nasz dom. W schronie dusimy się od pyłu. Mimo to nie pada żaden okrzyk. Czekamy co będzie dalej. Jedna eskadra samolotów odleciała. Zapalamy lampy, jeszcze nie zapłonęły wszystkie, gdy znów huk motorów, znów gwizd, szum i nowe wstrząśnienie - tym razem jeszcze silniejsze, znów trzask łamiących się żelaznych wiązań - i na nowo ciemność.

Wreszcie odlecieli. Znów zapalamy lampy i świece, które ledwie tlą się w gęstej kurzawie pyłu wypełniającego schron. Nie można oddychać. Pył wciska się w nos, w usta - dusi. Rozdajemy rannym mokre płatki gazy, którymi zasłaniają sobie usta i nos i tak dopiero oddychają.

Ale walka jeszcze trwa - Niemcy są tuż - tuż. Z góry dochodzi huk granatów ręcznych, rozpryskujących się na podwórzu i na ulicy. Za chwilę przemkną przez schron ostatni powstańcy, usuwając się z barykady na Konopczyńskiego, by otworem wybitym w ścianie piwnicy wymknąć się na Tamkę - jeszcze wolną.

Dr Żegliński chwytając prześcieradło, każe nam naszym czerwony krzyż i z tym w rękę idzie ku wylotowi korytarza, skąd słychać już wrzaskliwe, szczekające głosy Niemców i płaczliwy lament polskich kobiet. To ludność cywilna, stłoczona u wejścia do schronu. Głosy stają się coraz gwałtowniejsze i nagle na progu sali stają Niemcy. Karabiny wycelowane w nas, na piersiach taśmy z nabojami.

Dr Żegliński i dr Szymańska pertraktują wciąż z oficerem niemieckim. Wreszcie los nasz zostaje ustalony. Nazajutrz Niemcy mają nam przysłać ludzi do pomocy w przetransportowaniu rannych do Uniwersytetu lub pałacu Bruhla.

Niewola jeszcze nam nie ciąży. Jesteśmy na tym samym miejscu, w tym samym składzie ludzi, nie ma przy nas Niemców - na razie. Od pięciu tygodni związana ze szpitalem, nie oddalająca się prawie od niego, nie czuję jeszcze w tej chwili naszej potwornej niewoli. I nagle - nowy grom.

Matka moja, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem i zobaczyć co się dzieje na powierzchni ziemi - wyszła na górę. Po zasypanych gruzem schodach wydarła się ze schronu i stwierdziła że zgroza, że "litościwi" Niemcy wychodząc podpalili ruiny zombardowanego domu. Płoną również schody na wysokości pierwszego piętra - a my jesteśmy dwa piętra pod ziemią.

Wynoszenie rannych trwa długie godziny. Na 160-ciu rannych mamy trzy pary noszy - i dwu mężczyzn do pomocy. Droge rozświetlają nam błyski ognia dochodzące z góry - a w głębi schronu ogarki świec przyklepione do poręczy schodów. Nasz dom ma zwalone cztery piętra - a pierwsze i parter płoną ogniem jak pochodnia. Biegamy wciąż z góry na dół - po rannych. Wreszcie o drugiej w nocy praca skończona. Wszyscy ranni wyniesieni, wyniesione ich rzeczy i zapasy żywności.

Siadam na jakimś zwalonym bloku kamienicy i trzęsę się z zimna, mimo ognia, który nas otacza. Wrześniowa noc jest chłodna i ten ogień jest dla nas dobrodziejstwem chwili - myślę - zdając sobie sprawę z okropności tej myśli. Wiatr rozmiata około spopy iskień, zrzuca rozpalone żuźle na koce i sienniki rannych. W pewnej chwili jedna z kobiet wyciąga rękę: "O - patrzcie tam!" - mówi zdławionym głosem. Idziemy wzrokiem za jej ręką. W żelaznych, wygiętych wiązaniach domu, tkwi lotnicza bomba - niewypał. Płomienie ognia wciąż się do niej zbliżają - już zaczynają liźać jej boki. Co będzie, gdy otoczą ją i rozgrzeją? Wisi ona o kilka metrów nad naszymi głowami...

Siedzę, patrzę i myślę. Doprawdy jestem zdumiona swoim spokojem... Jestem taka spokojna, tak cicha wewnątrz, jakbym się urodziła właśnie tylko po to, jakby przeznaczeniem mojego życia było takie oto siedzenie na gruzach zwałonego i płonącego miasta, wśród rannych i umierających, jakby to był cel - do którego zmierzano całe moje dotychczasowe życie.

Chwilami mam znów wrażenie, że to nie jestem ja. Ktoś inny zupełnie mi obcy siedzi tu - a ja patrzę nań z góry, z zupełnym spokojem.

Nagle wszczynają się jakiś ruch. To wrócił dr Żegliński, który poszedł sam do Uniwersytetu i uzyskał od kwaterujących tam Niemców pomoc dla nas. Przesłano nam kilku wziętych do niewoli Polaków - cywilów, z noszami do przenoszenia rannych. Zaczyna się nowa wędrówka.

Hall Uniwersytetu Warszawskiego zamieniony został przez Niemców na stajnię. Teraz wyprowadzono konie - a gromada rannych z różnych szpitali - została rzucona bezładnie na zgniłą słomę i mierzwę końską.

Po raz pierwszy zetknięcie ze straszliwym, dotąd nie spotykanym brudem. Śmietnik, smród i muchy. Roje brzęczących, błyszczących much, które obsiadły ściany i rannych jedną czarną, rojącą się masą. No i wszy - odzieżowe, które od tego dnia dosłownie - zagryzały nas.

Jesteśmy bardziej bezradni niż dotąd. Brak nam ognia dla zagrzania jedzenia i przegotowania wody, którą w tej chwili możemy czerpać ze studni na terenie klasztoru Wizytek. Nie mamy środków oparunkowych, nie mamy basenów, nie ma ubikacji. A większość rannych chora na czerwonkę. Ranni leżą w hallu i na schodach wiodących do auli.

W południe Niemcy każą lekarzom preselekcjonować rannych. Przenosimy ich przez otwór wybity w murze - na teren klasztoru Wizytek. Tam, w obszernej kaplicy, znajdującej się nieco poniżej ogrodu, umieszczamy największą ilość rannych, pozostali leżą na korytarzach i w niszach.

Wkrótce po tym Niemcy poznajmił nam, że do dnia 22 września mamy przetransportować wszystkich rannych do szpitala na Woli. Kazano przynieść ich - na noszach. Odległość z klasztoru Wizytek do szpitala wolskiego wynosiła przeszło sześć kilometrów. Pierwszego dnia przeniosłyśmy zaledwie sześciu rannych. Na drugi dzień Niemcy przydzielili nam kilka wózków dwukołowych z jednym dyszlem, na które można było "załadować" jednocześnie dwu rannych na każdy wózek. Wreszcie trzeciego dnia dali do przewożenia rannych dwie ciężarówki i dwie czy trzy platformy konne. Przy parokrotnym obroceniu - ostatni transport rannych odjechał z klasztoru dnia 22 września około godz. 17-tej. Dołączyłyśmy - moja matka osłabiona po przebytej niedawno czerwonce, moja córeczka chorą na zapalenie ucha i mającą 40 st. temperatury i ja - z ogromnym wrzodem na piersiach - na skutek zadrapania i zakażenia ropą.

Gdy po przybyciu do szpitala zdałam transport dyżurnemu lekarzowi, kazał mi natychmiast odejść i opuścić gmach szpitalny. A przecież wyjście na ulicę groziło nam, o tej porze, dostaniem się w ręce żandarmerii niemieckich, a może nawet utratą życia, w najlepszym razie wywiezieniem do Pruszkowa. Zrozpaczona, zrobiłam awanturę lekarzowi, trzasnęłam drzwiami, wybiegłam na ulicę, siadłam na schodach przed szpitalem i rozplakałam się na cały głos. Wtedy podszedł do mnie jakiś człowiek i spytał, czemu płacz? Okazało się, że to woźnica konnej platformy. Obiecał załatwić całą sprawę.

Rzeczywiście wkrótce powrócił z wiadomością, że zaraz odchodzi do Brwinowa transport rannych - konwojowany przez żołnierzy niemieckich. Zabrał na wóz matkę i córeczkę, a mnie kazał iść pieszo przy wozie. W ten sposób opuściłyśmy Warszawę.

Maria Baranowska z Zatrzybów

Wspomnienie o Marii Tyszkowej

Nagła śmierć Prof. Marii Tyszkowej w dniu 3 lipca zaskoczyła wszystkich.

Byłam z nią związana przez długi okres życia, najpierw jako jej studentka, potem bliski współpracownik w Zakładzie Psychologii Rozwojowej i Wychowawczej (pierwotna nazwa Zakładu Psychologii Rozwoju Człowieka i Wychowania, którym kierowała od 1969 r. aż do śmierci) i jako przyjaciel. Podczas wieloletnich kontaktów poznałam ją jako uczoną o dużej różnorodności zainteresowań naukowych. Koncentrowały się one wokół teorii rozwoju psychicznego człowieka, zachowania się dzieci i młodzieży w sytuacjach trudnych, wyznaczników odporności psychicznej człowieka, rozwoju poznawczego od dzieciństwa do okresu dorosłości, rozwoju indywidualnego jednostki w różnych środowiskach, a także psychologicznych problemów percepcji sztuki przez dzieci. Większość tych zainteresowań znalazła swój wyraz w dziesiątkach publikacji (ponad 180 pozycji), również książkowych. Prof. Tyszkowa zajmowała się również pracą redakcyjną i edytorską. Pełniła m.in. funkcję naczelnego redaktora interdyscyplinarnego czasopisma naukowego "Człowiek i Społeczeństwo" oraz serii książek "Sztuka i Dziecko".

Brała udział w krajowych i międzynarodowych przedsięwzięciach badawczych, m.in. w badaniach nad funkcjonowaniem intelektualnym młodzieży i młodych osób dorosłych (współpraca z Dr. F.J. Kelly, Carbondale USA w latach 1980-1985), bądź dotyczących międzypokoleniowych stosunków w rodzinie i ich wpływie na rozwój indywidualny dzieci i młodych osób dorosłych (współpraca z Dr. K. Boehnke Freie Universität Berlin i Dr. W.A. Scott, Australian National University, Canberra Australia). Była wykładowcą w naukowych ośrodkach zagranicznych (Southern Illinois University, Carbondale, Illinois USA 1973 i 1979 r.). Aktywnie uczestniczyła w wielu międzynarodowych i krajowych konferencjach naukowych, m.in. w Rzymie 1986 r., w Tour we Francji 1986 r., w Budapeszcie 1988 r. Była członkiem towarzystw naukowych, krajowych i zagranicznych, takich jak Komitet Nauk Psychologicznych PAN, International Society for the Study of Behavioral Development i in. Powszechnie uznanie, jakim się cieszyła, znajdowało swój wyraz w powierzaniu jej różnorodnych funkcji w licznych komitetach i instytucjach naukowych, krajowych i zagranicznych. Za swoją pracę była wiele razy odznaczana, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Jej podstawową domeną była psychologia rozwoju człowieka. Podzielała pogląd, iż człowiek może rozwijać się przez całe życie (a nie tylko w dzieciństwie i okresie dorastania), czego przykładem były jej własne doświadczenia. Traktowała rozwój człowieka nie tylko jako możliwość, ale jako zadanie i sens życia.

Poważnie i z szacunkiem podchodziła do pracy. Szczególnie lubiła ten nurt badawczy, który wiązał się z opracowywaniem teoretycznych podstaw rozwoju psychicznego człowieka. Rezultat dociekań na tym polu stanowi opracowana przez nią koncepcja strukturacji i restrukturacji doświadczenia indywidualnego.



Była człowiekiem skromnym i wrażliwym, źle znosiła przejawy ludzkiej nieżyczliwości. Ożywiła się w atmosferze serdeczności. Była delikatna a jednocześnie silna tą siłą, która rodzi się z poczucia obowiązku i potrzeby stałego doskonalenia się. Myślę, że niewiele osób naprawdę ją znało. Dla tych, którzy mieli możliwość zbliżenia się do Niej, stawała się kimś bardzo ważnym w ich życiu, inspirującym do pracy i osobistego rozwoju.

Ostatnio przygotowywała podręcznik z psychologii rozwoju, bardzo potrzebny naszej psychologicznej literaturze. Jej śmierć tę pracę przerwała. Odeszła w pełni sił twórczych. W pamięci wielu osób pozostanie wzorem postępowania w pracy naukowej, dydaktycznej i w życiu prywatnym.

BARBARA HARWAS-NAPIERAŁA
Instytut Psychologii UAM Poznań

PAN - promocja nauki polskiej

Jedną z form współpracy PAN z zagranicą jest utrzymywanie oficjalnych kontaktów z akademiami nauk różnych krajów. Według danych z maja bieżącego roku, PAN, na podstawie około 60 umów, współpracuje z narodowymi akademiami nauk (bądź innymi równorzędnymi instytucjami) z 25 krajów europejskich, ze Stanów Zjednoczonych, Afganistanu, Chin, Egiptu, Indii, Izraela, Japonii, Jordanu, KRL-D, Mongolii, RPA oraz Wietnamu.

Niezależnie od umów międzypaństwowych, systematycznie wzrasta liczba umów o współpracy bezpośredniej, zawieranych przez poszczególne placówki PAN z konkretnymi instytucjami oraz placówkami naukowymi z zagranicy.

Akademia zawarła 561 umów o współpracy bezpośredniej, z czego na współpracę z Federacją Rosyjską przypada 96, z RFN - 59, Ukrainą - 55, była Czechosłowacją - 45, Francją - 43, USA - 32, Białorusią - 27, Włochami - 22, Litwą - 16, Węgrami - 13, Bułgarią - 13, Holandią - 13, Szwecją - 12 i Wielką Brytanią - 10.

Wiele placówek PAN rozpoczęło współpracę z podobnymi placówkami zagranicznymi nie dzięki formalnym umowom zawieranim ogólnie, lecz poprzez prywatne kontakty uczonych z naukowcami na całym świecie. Bardzo często kontakty te owocują umowami na płaszczyźnie instytucjonalnej.

Odrębną, bardzo istotną formą współpracy zagranicznej PAN, jest uczestnictwo w pracach różnych organizacji międzynarodowych.

Akademia (jej placówki, komitety naukowe oraz wydziały) jest członkiem ponad 50 międzynarodowych organizacji i towarzystw naukowych. Aktualnie w ramach PAN działa 51 Komitetów Narodowych, które pełnią rolę reprezentanta środowiska naukowego Polski w ramach współpracy z organizacjami międzynarodowymi. Na przykład Komitet Badań Polarnych PAN koordynuje prace polskich placówek naukowych w ramach Traktatu Antarktycznego, Komitet Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN koordynuje współpracę w ramach programu INTERKOSMOS, a Komitet Biotechnologii PAN jest odpowiedzialny za współpracę z Międzynarodowym Centrum Inżynierii Genetycznej i Biotechnologii w Trieście.

Do największych sukcesów na polu współpracy z zagranicą w ostatnich latach PAN zalicza przyjęcie Akademii do European Science Foundation (ESF) - stowarzyszenia skupiającego 59 organizacji (w tym akademie nauk, komitety naukowe oraz inne równorzędne placówki). ESF, które powstało w 1974 roku, jest stowarzyszeniem pozarządowym, niedochodowym i skupia się na promowaniu badań naukowych z dziedziny nauk humanistycznych, prawnych, medycznych i technicznych. Z byłego bloku wschodniego należą do niej tylko akademie nauk z Polski i Węgier. Dla PAN oznacza to wejście na europejski rynek naukowy. To, co w dziedzinie gospodarczej, patrząc optymistycznie, może stać się za lat dziesięć, w dziedzinie współpracy naukowej już się dokonało.

(Wyjątki z artykułu "Nauka wyprzedza gospodarkę" (jn) z "Przeglądu Akademickiego" nr 14/93)

Prasa dla wolności wolność dla prasy

J. Sobczak



E.S.: Asumpt do tej rozmowy dało opracowanie projektu ustawy o wolności prasy. Intencją redakcji jest, by wspólnie zastanowić się, czy projekt nowej regulacji wniesie korzystne zmiany do istniejącego stanu prawnego.

J.S.: Jestem autorem komentarza do obecnie obowiązującego prawa prasowego i autorem trzech książek na ten temat. Od dawna krytykowałem obowiązujące prawo prasowe, bo nie jest to twór udany. Z wielką przykrością stwierdziłem, iż projekt, który przyszło nam dzisiaj dyskutować, jest to wytwór tak samo nieudany, jak poprzedni. Bo w gruncie rzeczy, poza tytułem, nie bardzo się różni od prawa prasowego, które obecnie obowiązuje. A tam gdzie się różni, dzieje się to często niestety na niekorzyść. Zaczniemy od tego, jak ta ustawa się nazywa. Nazywa się "Ustawą o wolności prasy". Co to jest wolność? Natychmiast przyjdzie sztab filozofów, sztab prawników, historyków i zaczną się spierać. Koncepcje są różne. Tego rodzaju nieostre pojęcie w tytule ustawy, jest to moim zdaniem rzecz zbędna i niebezpieczna. Czym ta ustawa różni się od poprzedniej? Różni się tym, iż mimo deklaracji, że jest to ustawa o wolności prasy, ona moim zdaniem tę wolność ogranicza. Może dobrze, że ogranicza? Twierdzi się, że prawo prasowe daje dziennikarzom zbyt wiele uprawnień. Mnie się wydaje, że nie. Gdyby obywatele chcieli, to mogą dziennikarzy utrzymać w ryzach. Tyle tylko, że z obowiązującej obecnie ustawy nikt nie korzysta, ani do wydobywania informacji - a taką możliwość dziennikarze mają - nie ma procesów o udostępnianie informacji, ani do powstrzymywania dziennikarzy od naruszania dóbr osobistych. Najlepsza ustawa o prasie, najlepsza ustawa o telewizji, nic nam nie pomoże, jeśli świadomość prawna nie będzie głęboko zakodowana w społeczeństwie. Powiedziałem, że wolność prasy w projekcie nowej ustawy jest ograniczona. Postaram się to udowodnić. Walczyliśmy, żeby organem rejestracyjnym nie był organ ad-

ministracji. Zespół ekspertów d. s. opracowania nowego prawa prasowego zakończył prace. Owocem ich jest projekt "Ustawy o wolności prasy", przekazany do konsultacji środowiskom dziennikarskim. Redakcja "Życia Uniwersyteckiego" zorganizowała okolicznościową dyskusję z udziałem red. Krystyny Laskowicz - prezesa Zarządu i dyrektora programowego Radia "S", red. Elżbiety Lembicz - przewodniczącej Związku Zawodowego Dziennikarzy, red. Krystyny Lubińskiej-Spicy - publicystki, prof. dr. hab. Stefana Jurgi, prorektora UAM, przewodniczącego Rady Programowej "Życia Uniwersyteckiego", doc. dr. hab. Jacka Sobczaka, sędziego sądu administracyjnego i kier. Zakładu Systemów Prasowych i Prawa Prasowego przy INPiD UAM oraz doc. dr. Jana Załubskiego, dziennikarza, kier. Pracowni Praktyki Dziennikarstwa przy INPiD UAM. Redakcję reprezentowała red. Ewa Staniewicz.

ministracji. Już raz żeśmy przeżywali to, że organem rejestracyjnym był Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Te kompetencje powierzone zostały sądom i to sądom wojewódzkim, zgodnie z ogólną tendencją. Sądy, rejestrując spółki, są organami rejestracyjnymi dla całego prawa handlowego, dla stowarzyszeń, dla partii politycznych, i były dla prasy. Teraz z nieznanых przyczyn rejestracja prasy ma przejść w kompetencje organu administracji, który nie jest organem niezawisłym. Generalnie ma to być decyzja administracyjna z prawem skargi do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Tylko, że NSA nie może zmienić decyzji wojewody, on może ją jedynie uchylić, jeżeli jest sprzeczna z prawem. I ten ping-pong będzie trwał. Do tego dojdzie jeszcze zupełnie niepotrzebnie możliwość, a nawet może czasami konieczność, rewizji nadzwyczajnej do Sądu Najwyższego. Po co? Po co zmieniać to, co już zaczęło prawidłowo funkcjonować? Wszystkie papiery znowu powędrują, bo raz wędrowały z Głównego Urzędu do sądów wojewódzkich, przy okazji to i owo zginęło po drodze, i teraz z sądów wojewódzkich wszystko przejdzie fizycznie w ręce wojewodów. Moim zdaniem jest to błąd. Podobnym błędem jest pomysł, żeby zlikwidować zawieszenie rejestracji tytułu. To była instytucja krytykowana, ale przydawała się małym czasopismom, gdy okresowo kończyły się pieniądze. Widzę ograniczenie wolności prasy również w tym, że nie ma Rady Prasowej. Wiemy, że nie funkcjonuje ona, mimo że jest przewidziana w ustawie. Ustawodawca widział określone trudności w wyłanianiu Rady Prasowej. Żeby uniknąć tych trudności, po prostu ją zlikwidował i powiada, że mogą istnieć stowarzyszenia dziennikarskie. To nie jest żadna łaska i zapis o stowarzyszeniach dziennikarskich równie dobrze mógłby tutaj nie istnieć. Są inne ustawy, które mówią, że dziennikarz może sobie utworzyć związek zawodowy lub stowarzysze-

nie. Ponadto chcę powiedzieć, że sformułowano tutaj szereg przepisów niebezpiecznych dla dziennikarzy. Na przykład, że ukryta działalność reklamowa będzie traktowana jako ciężkie naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych. Innymi słowy, pociąga to rozwiązanie umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym. Lecz tak naprawdę, to nikt do końca nie wie, co to jest ukryta działalność reklamowa. Orzecznictwo Sądu Najwyższego na ten temat milczy, sądy apelacyjne też tego jeszcze nie ruszyły i teraz mają ćwiczyć na skórze dziennikarza? Dlaczego takie ograniczenie wolności prasy w ustawie, która się mieni ustawą o wolności prasy? Przejdźmy może do spraw bardziej szczegółowych. Nie podoba mi się przyjęta definicja prasy. Chyba przez jakiś pośpiech zabrakło tam stwierdzenia, że prasą jest to, co nie tworzy zamkniętej całości. Dobrze, że zdefiniowano wydawcę. Ale po co definiuje się druk prasowy? Piszę się: drukiem prasowym jest dziennik lub czasopismo produkowane techniką druku. Masło maślane. Co to znaczy technika druku? Nie zawsze jest to technika druku według Gutenberga. Czasami jest to zupełnie coś innego i zwyczajowo mówimy, że to jest druk, a to na pewno drukiem nie jest, na przykład skład komputerowy. Co jeszcze bym tutaj skrytykował? Skrytykowałbym rozwiązanie dotyczące sprostowań. Mieliśmy niezbyt dobry system. Wszystkim myliły się sprostowania z odpowiedziami, a reguły zamieszczania i reguły komentowania były różne. W tej chwili mamy tylko sprostowania. Sprostować możemy fakty, a nie możemy sprostować ocen. Wypadają nam gdzieś z tej ustawy o wolności prasy właśnie odpowiedzi i polemiki. Czyli jeśli chcę zamieścić u mojego przyjaciela polemikę prasową, to on mi ją zamieści, ale po starej znajomości. Natomiast gdyby chciał mi odmówić, to nie będę się mógł tego domagać. Jeszcze jedna rzecz. Co tam popisano o spółkach dziennikarskich, to jest chyba zupełnie oderwane od



K. Laskowicz i S. Jurga

rzeczywistości. Członkami zarządu rady nadzorczej mogą być "w większości" obywatele polscy. Co to jest "w większości"? To są nieostre sformułowania, niegodne aktu prawnego. "Zamieszkali w Polsce". To znaczy na pobyt stały, czy czasowy? Tego ustawodawca nie precyzuje i to będzie rodzić spory. Może jeszcze jedna bliska mi sprawa dotycząca sądów i sprawozdawczości sądowej. Z tym było niesłychanie wiele sporów. Znowu mamy nieostre sformułowania: kto ma udostępnić akta dziennikarzowi, komu, w jaki sposób to się ujawnia. Jest tam sformułowanie, że generalnie dziennikarz nie może podać informacji o oskarżonym, o pozwanym lub powodzie, chyba że są to osoby powszechnie znane. A co to jest powszechnie znana osoba? Znaczący kto ją zna? Jeżeli pan rektor będzie się cywilnie procesował, to jest osobą powszechnie znaną, czy też nie? Dobrze jest rozwiązanie odnośnie tajemnicy dziennikarskiej. Raz to wreszcie przecięto. Co to jest tajemnica dziennikarska? Okazuje się, że jest to taka tajemnica, jak tajemnica spowiedzi. Chodziło o to, czy organ sądowy, prokuratorski, może zwolnić od tajemnicy dziennikarskiej. Dziennikarze twierdzili że nie, aczkolwiek nie wszyscy, a organy wymiaru sprawiedliwości, też nie w całości, uważały że tak. W tej chwili wyraźnie już wiadomo, że to jest taka tajemnica, od której zachowania się nie zwalnia, pod warunkami, które są w ustawie jasno określone. I jeszcze jedna ważna rzecz. Ten projekt wszystkie praktycznie procesy dziennikarskie spycha do sądów rejonowych. Obecnie było inaczej, wiele procesów toczyło się w sądach wojewódzkich, i słusznie. Tak się stało w sądownictwie, że w rejonach są ludzie młodzi, nie zawsze przygotowani do tego, co przychodzi im robić. A to jest właściwie najtrudniejszy do rozstrzygnięcia dział prawa.

K.L.: Pan już w zasadzie prawie wszystko powiedział, ale patrząc na projekt pod nieco innym kątem, mam do dodania parę rzeczy.

Po pierwsze, wydaje mi się niebywale cenne, że tu nie pojawiły się te narzucone wartości ideologiczne, które są w ustawie o radiofonii i telewizji, chociaż nie wiadomo, czy nie będzie prób przyporządkowania ich także tutaj. Inaczej byłaby sytuacja kuriozalna, że prasa nie miałaby tego obowiązku, a powiedzmy radio i telewizja, jako środki masowego przekazu, tak. Jest jedna rzecz zasadnicza, której pan nie poruszył: dostęp do informacji, jako że ustawa prasowa, to jest przede wszystkim sprawa dostępu do informacji. W zasadzie w każdej chwili można spotkać się z odmową bez uzasadnienia. Musi być w sposób bardzo wyraźny powiedziane, co jest tajne w tym kraju, czego nie wolno udostępniać dziennikarzom, a cała reszta powinna być absolutnie dostępna. Można by sięgnąć tutaj nawet do praw człowieka. Człowiek ma prawo do informacji, musi wiedzieć co się w kraju dzieje, wyłącznie wtedy ma jakikolwiek wpływ na otaczające zdarzenia. Myślę, że to jest rzecz, której w tej ustawie prasowej nie można prze-gapić. Żeby to nie było tak, jak kiedyś z odmową paszportu ze względu na ważne racje. I to są rzeczy nie do przekroczenia. Oczywiście można powiedzieć tak, jak pan powiedział, że należy używać instrumentu prawnego i się przed odmową dostępu do informacji bronić. Myślę jednak, że wszyscy dziennikarze zgodzą się, iż jest to czysta teoria. Że w praktyce jest to rzecz nie do przeskoczenia. Natomiast niech dotrze do świadomości instytucji i urzędów, że są zobowiązane udzielać informacji i że pełnią funkcję służebną wobec społeczeństwa, które ma pełne prawo wiedzieć co robią. W tej chwili panuje jeszcze stary nawyk: nie ja, tylko ten, tamten i obawa powiedzenia czegokolwiek poza kierownikiem jakiejś jednostki jest wręcz kuriozalna. Możemy napisać, że wszystko wolno, że mamy ustawę o wolności prasy, natomiast jeśli nie będzie zagwarantowany bardzo ostro i

wyraznie dostęp do informacji, to nie ma o czym gadać. Jeszcze taka drobna rzecz, którą pan poruszył, mianowicie ta niebezpieczna dla dziennikarzy, ukryta działalność reklamowa, która pozwala na zwolnienie pracownika. Niezdarne sformułowanie i sankcje do tego w ogóle nie powinny się znaleźć w ustawie, natomiast rzecz jest bardzo prosta: jeżeli się pojawiają w radiu, w telewizji, czy w prasie materiały mające akcenty reklamowe firmy, podające nazwę, adres, telefon, co tam można kupić, to powinno być traktowane jako materiał reklamowy. I to jest rzecz ewidentna. Nie wiem, czy musi być aż zapis ustawowy, bo to powinno być w regulaminie, czy w statucie, ale myślę, że od strony legislacyjnej jest to do uporządkowania.

J.S.: Pani redaktor, to jest prawda, co pani mówi. Tyle tylko, że pani równie dobrze jak ja wie o tych dziennikarzach warszawskich, których wyrzucono z telewizji, dlatego że powiedzieli, iż została opublikowana wspinała książka - tutaj pada nazwa wydawnictwa, autor książki, tytuł książki. I to w jakiej audycji? Audycji, która jest poświęcona przedstawianiu nowości wydawniczych. No to jak oni mieli powiedzieć o tej książce?

K.L.: - Tak, ale myślę, że ich wyrzucili, bo chcieli wyrzucić.

J.S.: - To jest prawda. Więc nie dajmy nikomu takiego instrumentu prawnego.

E.S.: W ogromnym kłopotcie są dziennikarze zajmujący się handlem, przemysłem - jak dalece są ograniczeni w pisaniu?

K.L.: U nas jest na przykład bardzo dokładny regulamin. Pojawia się mnóstwo towarów, ludzi to interesuje, trzeba pisać, mówić, natomiast nie można podawać adresu i kontaktu na firmę. Jeżeli konkretne wskazanie się pojawia, to jest to tak zwany materiał promocyjny. Jest to surowo przestrzegane, tym bardziej że w radiu i telewizji ustawa bardzo ogranicza czas emisji reklam.



J.Z.: Jeżeli dzisiaj dziennikarz napisze, że sklep X ma plakat, iż mimo VAT-u nie podniósł ceny, to robi mu automatycznie reklamę. A skądinąd jest to pozytywny przykład, wart upowszechniania.

J.S.: Dlatego jest tak niebezpieczne wpisanie tego do ustawy. Natomiast co do dostępu do informacji, to dzisiaj mamy zapis - każdy obywatel, zgodnie z zasadą wolności słowa i prawem do krytyki może udzielać informacji prasie. A w nowym projekcie, o wolności bądź co bądź, identycznego rozwiązania nie ma. Wiemy, że są takie pomysły, iż z dziennikarzem może rozmawiać tylko pan dyrektor, pan prezes, w szczególności firm prywatnych. Rozumiem, że ktoś powiada - ja kupiłem pracę robotnika, więc nie będzie mi się ten dziennikarz w zakładzie szwendał i wykorzystywał czasu, który ja kupiłem. Ale on nie ma prawa zabraniać pracownikowi rozmowy z dziennikarzem za płotem. A w świetle nowej ustawy, to nie będzie tak jasne jak obecnie, kiedy każdy obywatel ma prawo do krytyki i może udzielać informacji prasie. Co do tajemnicy państwowej, to ja się z panią zgadzam, że ta ustawa już dawno powinna zostać znowelizowana, bo w tej chwili jest powiedziane w ten sposób: tajemnicą państwową jest to i to, a co nie jest tajemnicą państwową, to jest tajemnicą służbową.

K.L.: W projekcie jest jeszcze rozszerzenie na sprawy, które posiadają wartość handlową, są materiałem roboczym, czy też zachodzi wyższa konieczność. Wszystko może być.

S.J.: Ja chciałbym spojrzeć na prasę jako czytelnik, jako osoba nie związana z kręgami osób uprawiających dziennikarstwo, i również jako osoba, która udziela informacji. Otóż uważam, że dostęp do informacji powinien istnieć, pod warunkiem przestrzegania etyki zawodowej. I trzeba byłoby w tym momencie zapytać, jaki jest stan polskiego dziennikarstwa. Czy te szybkie przemiany, mnożenie nowych tytułów, potrzeba zarabiania pieniędzy, nie spowodowały dewaluacji zawodu dziennikarskiego. Zatrudnia się studentów ostatnich lat, którzy przedstawiają rzeczywistość na tyle prawdziwie, na ile mają ukształtowaną wrażliwość i postawę etyczną. Tutaj mamy bardzo negatywne doświadczenia. Oczywiście negatywne doświadczenia nie mogą

zdominować poglądu o prasie w ogóle, ale czasem dotykają silnie. Dla przykładu dziennikarz "Gazety Wyborczej" zadzwonił do mnie do domu w sobotę po południu, koniecznie domagając się potwierdzenia informacji podanej przez TVES, że uniwersytet udostępnił swoje lokale BBWR-owi. Nie wiedziałem z kim rozmawiam, nie wiedziałem, jak informacja zostanie wykorzystana, sprawa, o którą chodziło, była w toku załatwiania i jeszcze sytuacja nie dojrzała, żeby przesądzać wynik. A dziennikarz zinterpretował po swojemu. Ja bym odkrył się zupełnie, gdybym mógł mu zaufać. Ale wiem, że są pewne tytuły, są pewne osoby, którym zaufać nie mogę. Tak, że mnie się wydaje, iż trzeba byłoby się zastanowić, co zrobić, aby jednak podnieść rangę zawodu dziennikarskiego, odpowiedzialność za słowo, przez zwiększenie wymagań etycznych i fachowych i zagęszczenie sita dostępu do tego zawodu.

E.S.: Tym bardziej, że przewiduje się rezygnację z obowiązku autoryzacji tekstów. Brak kodeksu etyki dziennikarskiej, czy obyczajowego, jest bardzo odczuwalny, a nie wiadomo kto miałby podjąć ten wysiłek ze względu na stan stowarzyszeń. Natomiast projekt ustawy odwołuje się do nie istniejącego kodeksu, który miałyby opracować stowarzyszenia powołane dopiero w oparciu o to nowe prawo.

J.Z.: Ja bym kontynuował myśli pana rektora. Jest definicja - kto może być dziennikarzem. I otóż trudno się zgodzić z tym, że dziennikarzem jest każdy, kto przygotowuje materiały prasowe na rzecz redakcji. Jeżeli ja poproszę kolegę, żeby mi robił do gazety program telewizyjny, to on zostaje automatycznie w rozumieniu tej ustawy dziennikarzem. Powinny istnieć kryteria, które jednak w jakiś sposób oddzielią rzeczywistych dziennikarzy od wszystkich, którzy się za nich uważają. A rzecz - zgadzam się - jest w tej chwili niepokojąca, ponieważ wraz z dopływem do zawodu wielu młodych, zdolnych i uczciwych ludzi, przez to sito przeleciało wiele osób, które pracują nieetycznie, nierzetelnie, często również niefachowo. Sądziłem, że jeżeli dziennikarze będą mieli do projektu wiele zastrzeżeń, to prawdopodobnie prawnicy wysoko go ocenią, bo mają inne spojrzenie. Tutaj się raptem okazuje, że

jestemy w dużym stopniu zgodni. Otóż ja również uważam, że jest nielogiczne nazwanie tego projektu ustawą o wolności prasy, ponieważ znajduje się tam cały szereg rozdziałów, nie mających z wolnością nic wspólnego. Rozdział, który się nazywa "Komunikaty, ogłoszenia" - co to jest? Przy czym musimy się zgodzić, że wolność jest bardzo względna. Stuprocentowej nigdy nie będzie. Każdy, kto wydaje prasę, angażuje swoje pieniądze, sam ją ogranicza. To nie muszą być ograniczenia zewnętrzne. Już przed wojną Michał Pietrzak napisał książkę "Reglamentacja wolności prasy w drugiej Rzeczypospolitej". Państwo było demokratyczne, ale reglamentacje istniały. Nie tylko dlatego, że była cenzura represyjna, ale istniał szereg różnych innych ograniczeń. Dlatego określenie "prawo prasowe" bardzo mi odpowiada, w przeciwieństwie do nazwy projektu nowej ustawy. Chyba był bardzo mały udział dziennikarzy praktyków, może większy teoretyków. Pewne sformułowania artykułów potwierdzają to. Jak można nazwać prasą czynności, a nie wytwór pracy dziennikarskiej! W definicji redaktora naczelnego czytam, że jest to osoba uprawniona do decydowania o zamieszczaniu materiałów. Tak mógł napisać człowiek, który chyba nigdy nie był w redakcji. Gdyby redaktor naczelny miał decydować o każdym zdaniu, które się ukazuje, to on tam by chyba nocował i też nie był w stanie wszystkiego dopilnować. Przecież decydują całe zespoły. Po to naczelny ma swoich zastępców, kierowników działów. Ja nie wiem, czy można też całkowicie odrzucić zakaz ograniczania wolności publikacji z powodu ich treści. Czy nie było w Polsce przypadku, że jakąś rewizjonistyczną gazetkę w Opolskiem trzeba było zlikwidować? Albo jeżeli ktoś będzie jawnie uprawiał pornografię w najgorszym wydaniu, to nie ma sposobu, żeby ograniczyć tę działalność? A to jest tutaj jakby wyraźnie zabronione. Czyli, inaczej mówiąc, wszystko wolno. Chyba nie wolno? Inny artykuł mówi, że obligatoryjnie trzeba podawać wielkość nakładu. To bym mimo wszystko przeniósł poza ustawę - przecież nakład wszystkiego nie mówi. Są dzisiaj w Poznaniu pisma, które mają 90 procent zwrotów. I co mi mówi w tej sytuacji wysoki nakład? Inna rzecz: zgłoszenia do urzędu antymonopolowego. Podstawy działania wydają mi się tutaj zupełnie niejasne. Nie wiem, skąd się wzięły jakieś kwoty, kto to wyliczał, jakie są mierniki? Jeden z artykułów w dwóch punktach określa możliwości zwolnienia dziennikarza, przy czym punkt drugi jest dokładnym powtórzeniem punktu pierwszego: jeżeli nie można zwolnić bez zgody redaktora naczelnego, to nie ma sensu pisać następnie, że zwolnienie bez jego zgody jest nieważne.

E.S.: Podobne sformułowania są częste: "kto podaje nieprawdziwe dane... lub podaje dane nieprawdziwe" na przykład.

J.Z.: Dalsza sprawa, zwolnienie z obowiązku prostowania sprawozdań parlamentarnych, jeżeli były rzetelnie zrobione. Uważam, że jeżeli coś jest zrobione rzetelnie, to się tego nie prostuje, obojętnie o jaki materiał chodzi. Dlaczego ni stąd ni zowąd wyodrębnia się sprawozdanie z Sejmu czy z Senatu - a sprawozdania z posiedzenia miejskiej rady narodowej rzetelnie zrobione - to można prostować? W komentarzu do projektu wyczytałem, że praktyka nie potwierdza ce-



lowości utrzymania instytucji zawieszenia uprawnień do wydawania tytułu. Ja uważam, że właśnie praktyka ją potwierdza. Dalej - rezygnacja z obowiązku autoryzacji. To nie jest ograniczenie wolności dziennikarza - to jest w wielu przypadkach obrona dziennikarza, ponieważ nie tak rzadko się zdarza, że ktoś udzielający wywiadu, zwłaszcza jeżeli to jest polityk, raptem po przeczytaniu tekstu zaprzecza słowom, które powiedział. Jeżeli dziennikarz nie ma taśmy - a w sądzie nawet taśma nie jest dowodem niepodważalnym - no to ten dziennikarz, dając do autoryzacji tekst, sam się broni. No i zupełnie nie widzę ani słowa o prasie obcojęzycznej, która jest w naszym kraju wydawana, nie zawsze właśnie przez obywateli polskich. Ten rozdział pominięto, a są dziennikarze w to zaangażowani. Mnie się wydaje, że ustawa powinna również uwzględnić istnienie tych dziennikarzy, którzy pracują w Polsce, ale reprezentują cały świat: oni też podlegają jakimś rygorom. Też ich swoboda nie jest taka bezgraniczna. Przecież są przypadki - teraz się z tego mniej korzysta - wydalania dziennikarzy, jeżeli jawnie piszą nieprawdę i jeżeli to jest normalna ich praktyka. Takich możliwości projekt ustawy w ogóle nie przewidział. Tak, że reasumując, widzę tu bardzo dużo braków i zdaje się jeszcze sporo czasu minie, zanim akt ten przybierze ostateczny kształt.

J.S.: Jest jeszcze jedna sprawa - wprowadzono znowu tylnymi drzwiami redaktora odpowiedzialnego. Przecież to łamie wszelkie zasady prawa karnego! Pani redaktor jest redaktorem naczelnym, została pani posłem, ma pani immunitet i powiada - ale za wszystkie moje grzechy odpowiada Sobczak. A ja nic nie zrobiłem!

J.Z.: Tak, ale Sobczak musi się na to zgodzić. Przyjął etat redaktora odpowiedzialnego, brać za to pieniądze.

J.S.: Ale za samą zgodę człowiek nie powinien odpowiadać. Odpowiada się za czyn.

K.L.: Pan zauważył słusznie, że ta ustawa jest częściowo komplementarna do ustawy o radiofonii i telewizji, jeszcze mamy kodeks karny, jeszcze mamy kodeks cywilny, całą masę ustaw specjalnych. Natomiast wydaje

mi się, że bardzo potrzebny jest całościowy kodeks, który obejmować będzie wszystko, co jest związane z dziennikarstwem, w ogóle z mass mediami. Obowiązujące przepisy mają luki, a w niektórych miejscach bywają ze sobą sprzeczne. Wydaje mi się również, że taki kodeks powinien zawierać w aneksie kodeks etyczny. Jeżeli chodzi o granice tajności, uważam, że Ministerstwo Sprawiedliwości powinno podać do publicznej wiadomości co jest tajne, a co nie jest tajne, tak samo Ministerstwo Łączności, natomiast co do całej pozostałej sfery powinien istnieć obowiązek udzielania informacji, bo jeżeli go nie ma, to naprawdę jest możliwość udzielania odmowy w każdym przypadku.

J.S.: W świetle ustawy o tajemnicy państwowej i służbowej, każdy ma obowiązek prowadzić wykaz tajemnicy służbowej. Tak że tam nie ma dowolności.

K.L.-S.: Ja chciałabym się podzielić z państwem pewnym doświadczeniem związanym z autoryzacją. To w zasadzie nawiązuje do tego, o czym wspominał pan rektor Jurga. Niedawno towarzyszyłam pewnej ważnej osobie przez dwa tygodnie i pomyślałam, że warto by było coś napisać. Poprosiłam o kontakt, żeby autoryzować tekst, który opracuje. A ta osoba mówi, że całkowicie mi ufa i uważa, że mogę zrobić z jej wypowiedziami co chcę. Rzecz nie leży jednak w zaufaniu do mnie, tylko w tym, że są ludzie, którzy czują się odpowiedzialni za słowo w każdym momencie i nie obawiają się, że to co powiedzieli może być użyte przeciwko nim. Wydaje mi się, że obecnie jest mało takich ludzi. Z tym musimy się liczyć, zwłaszcza w związku z uchYLENIEM obowiązku autoryzacji. Druga sprawa, to zdobywanie informacji. W zasadzie jest tak, że najlepiej rozmawia się ludziami, którzy mają do siebie zaufanie, łączą ich wyznawanie wspólnych wartości. Zapominamy, że zawód dziennikarski jest zawodem służebnym i nasze intencje nie tyle się liczą, co liczą się wartości, którym chcemy służyć. Nie podchodziłabym zbyt optymistycznie do tworzenia kodeksu obyczajowego i zbytnio na nim nie polegała, aczkolwiek uważam za ważne opracowanie porządnego zbioru zasad, które powinny wszystkich obowiązywać w tym zawodzie. W zasadzie większy nacisk należałoby kłaść na kształtowanie człowieka, ale tego nie osiągnie się przez kodeks. Jako dziennikarze mamy możliwość wpływania na ludzi, którzy kiedyś trafią do zawodu dziennikarskiego. Same nakazy są pomocne w sytuacjach ostatecznych, ale chyba nie wzbudzą w nikim poczucia odpowiedzialności za słowo.

E.L.: Biuro Prasowe rządu poprosiło mnie o przekazanie uwag o projekcie - to już jest chwalebne, bo kiedyś nie proszono dziennikarzy o opinie. Podejrzewam, że wszystkie braki projektu wiążą się z tym, iż wśród autorów było mało dziennikarzy, a większość ludzi z administracji państwowej, takich praktyków z urzędu. Parę miesięcy temu zwrócono się do Związku Zawodowego Dziennikarzy o opinie na temat starego prawa prasowego. Pewne sugestie przekazaaliśmy i powiem państwu, że niektóre rzeczy zostały tu uwzględ-

nione. Czyli na przykład skrócenie - w przypadku sprostowań - czasu, w jakim należy je opublikować, bo dawniej mogło to trwać w nieskończoność. Wszystko jednak nie zostało wzięte pod uwagę, na przykład sprawa izby prasowej. Chcemy zainicjować stworzenie czegoś na kształt izby lekarskiej, ponieważ ranga zawodu upadła, nie przestrzega się etyki, jest brak odpowiedzialności za słowo i tak dalej. Będziemy postulować stworzenie izby prasowej, która skupi wydawców i dziennikarzy i ogarnie wszystko, czego się tu domagamy. To musi być niezależne od organów administracji państwowej. Tam mógłby powstać dziennikarski kodeks obyczajowy, przypisany na razie SDP. Trzeba będzie stworzyć parę dokumentów. Ustala się, jakie dziennikarze mają prawa i obowiązki, ale nigdzie nie mówi się o całości funkcjonowania tego zawodu, o jego randze, a on zupełnie podupadł, nie ma żadnej ochrony socjalnej, żadnej ochrony zdrowia. Nikt nie wspomina o dziennikarzach, którzy uprawiają zawód niezależnie. Jest to projekt ustawy o wolności prasy a nie zawiera słowa o tym, że bardzo duża grupa osób wykonuje zawód niezależnie, pozaetadowo. Projekt nic nie mówi o tym, że dziennikarstwo jest zawodem twórczym, dziennikarzy niezależnych w związku z tym nie chroni nic, nie są ubezpieczani, nie ma im kto płacić emerytury. Są dziennikarze, którzy się angażują do pracy poza granicami kraju, nawet tam giną i nie mają żadnych ubezpieczeń, rodziny zostają bez środków do życia. Emeryt dziennikarski nie jest dziennikarzem, rencista nie, ten który wyjechał do Serbii nie, niezależny nie. A na Zachodzie w statutach organizacji dziennikarskich o nich bardzo się pamięta. Mamy nadzieję, że to będzie dopisane przez twórców projektu. Wspomniano tutaj, że są statuty w naszych redakcjach, ale te statuty są na ogół ukryte i żaden dziennikarz nie może zobaczyć co tam właściwie jest napisane, jak ta firma powinna funkcjonować, nikt się nie pytał żadnych związków czy stowarzyszeń, tworząc ten statut. Potem się okazuje, że dziennikarz nie ma prawa do żadnego urlopu dodatkowego, że musi pracować 24 godziny tylko dlatego, że ma nienormalny czas pracy. Wydawcy nie chcą nawet przestrzegać kodeksu pracy. Musi być jakieś ciało, które będzie tego pilnować, poza sądami. Dziennikarz nie może od razu iść do sądu, bo nie ma na to pieniędzy.

J.Z.: Ale do sądu pracy może iść za darmo.

E.L.: Do sądu pracy tak, i my tam bywamy. To jest właściwie jedyne miejsce, gdzie my spotykamy się tak naprawdę z dziennikarzami.

S.J.: Ale pewnie byłby ten zawód, ta profesja zubożona, gdyby wszystko było w tym skodyfikowane, gdyby dziennikarz pracował od godziny do godziny.

E.S.: Mimo że sprawy pracownicze zdominowały pod koniec naszą rozmowę, mam nadzieję że ogólny wydźwięk tej dyskusji odda właściwie nasze intencje: odpowiedzialne dziennikarstwo odpowiedzialnych dziennikarzy dla upowszechniania prawdziwej i pełnej informacji, w oparciu o mądre prawo. Dziękuję państwu za udział w rozmowie.

Opr. i fot. (4) Ewa Staniewicz

Ze sportu

• Na przełomie czerwca i lipca odbył się w Wilkasach k/Giżycka (Ośrodek Zarządu Głównego AZS) VII Festiwal Sportowy Studentów. Poznańskie środowisko akademickie reprezentowali studenci Uniwersytetu i Akademii Ekonomicznej. Choć wszelkie rozgrywki sportowe podczas Festiwalu prowadzone były na wesoło, warto odnotować wysokie, IV miejsce ekipy Akademii Ekonomicznej w łącznej punktacji dziewięciu zespołów.

W równoległym trwającym centralnym obozie szkoleniowym aktywni KU AZS uczestniczyli Piotr Dwornicki i Piotr Kuś z KU AZS UAM.

• Podsumowano rywalizację w ramach Akademickich Mistrzostw Poznania w roku 1992/93. Rozgrywki te koordynuje Rada Środowiskowa Klubów Uczelnianych AZS, działająca przy Zarządzie Środowiskowym AZS Poznań. Reprezentanci AZS UAM odnieśli zwycięstwa drużynowe w następujących spośród 14 rozgrywanych dyscyplin: koszykówka kobiet, koszykówka mężczyzn, pływanie kobiet, tenis stołowy kobiet i tenis stołowy mężczyzn.

• W czerwcu i lipcu trwały spływy kajakowe, zorganizowane dla studentów Uniwersytetu przez Studium Wychowania Fizycznego i Sportu UAM, przy współpracy Klubu Uczelnianego AZS. W pięciu spływach uczestniczyło przeszło 100 osób.

• Wakacje, to także czas aktywnej działalności sekcji turystyki górskiej KU AZS UAM. Zwiedziwszy już wszelkie możliwe góry w Polsce, na przełomie lipca i sierpnia najwięksi zapaleńcy z tej sekcji wybrali się na wędrówkę po Alpach.

• W drugiej dekadzie lipca w Buffalo (USA) odbyła się kolejna letnia Uniwersjada - igrzyska organizowane na wzór Olimpiad dla studentów uprawiających sport wyczynowo. W stawce ponad 5000 zawodników ze 135 krajów świata nie zabrakło Polaków. W chwili zamykania numeru "ZU" wieści ze Stanów Zjednoczonych były nie najlepsze; cieszyliśmy się jedynie dobrą postawą zespołu piłki siatkowej mężczyzn, broniącego złotego medalu zdobytego pod wodzą Edwarda Skorka na Uniwersjadzie w Sheffield w 1991 roku. Warto przy okazji wspomnieć, że Zimowa Uniwersjada odby-

ła się w tym roku w Zakopanem, a do jej sprawnego przebiegu przyczyniła się między innymi społeczna praca dwunastu działaczy i działaczek KU AZS UAM, pełniących funkcje pilotów i opiekunów ekip zagranicznych. W Buffalo startuje trzech reprezentantów AZS Poznań: Arkadiusz Trafes (AE, rzut oszczepem), Andrzej Jakubiec (AE, biegi na 800 i 1500 m) oraz Norbert Jaskot (AWF, szermierz, szablista).

• Do nowego sezonu przygotowują się koszykarki AZS Poznań. Zespół odrobinę się wzmocnił i zamierza walczyć o środkowe miejsce w I-ligowej tabeli. 15 sierpnia drużyna wyjeżdża na obóz sportowy do Brennej, a już 25 września czeka ją trudny mecz z lokalnym rywalem, Olimpią. Miejmy nadzieję, że akademiczki nie zawiodą swoich kibiców.

(P. K.)

Humorpress

Pani X. wynajmuje pokój studentowi. Student deklaruje, że nie będzie sprowadzał kobiet. Opłaca kwaterę przez cały rok, chociaż korzysta z niej tylko w roku akademickim, od października do czerwca. W momencie jego wyjazdu na 3-miesięczne wakacje pani X. proponuje, że w tym czasie udostępni pokój swojej siostrzenicy, która pokryje należność, odciążając studenta. Student się zgadza. Czy to znaczy, że student i siostrzenica pani X. mają ze sobą romans?

Tak właśnie by rozumował jeden z młodych poznańskich dziennikarzy, sądząc po jego interpretacjach działalności władz uniwersytetu. Zafrapowani czekamy na kolejne publikacje.

Wakacyjny filar

Kwotę 9.573.900 zł zebrała wśród pracowników Uniwersytetu uczelniana "Solidarność", aby pomóc w sfinansowaniu wakacji dzieci niepełnosprawnych. Wakacje zorganizowała Wielkopolska Fundacja Pomocy Inwalidom "Filar".

Przewodnicząca Komisji Zakładowej NSZZ "Solidarność", Krystyna Andrzejewska, dziękuje tą drogą wszystkim ofiarodawcom.

Będą aktywni?

Obóz szkoleniowy Akademickich Organizatorów Sportu, który po raz kolejny zamierza zorganizować Klub Uczelniany AZS Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, dojdzie do skutku w dn. 1-12 września br.

Ma on stanowić przede wszystkim kurs adaptacyjny dla studentów nowo przyjętych na UAM. Obozy wrześniowe należą do tradycji KU AZS UAM; pierwszy odbył się we wrześniu 1986 roku. Działacze Akademickiego Związku Sportowego na naszej uczelni wywodzą się właśnie głównie spośród uczestników AOS-u; aktualny prezes KU AZS UAM, Piotr Dwornicki, przeszedł kurs Akademickiego Organizatora Sportu w roku 1989, w Łęczeczkach.

Tegoroczny obóz zaplanowano w Sierakowie. Odbędzie się z udziałem 45 młodych ludzi, którzy 1 października rozpoczną studia w UAM. Organizatorzy - działacze KU AZS UAM - wybrali swoich "kursantów" na podstawie dokumentów złożonych na Uniwersytecie wraz z podaniem o przyjęcie na studia wyższe. Zaproszenia otrzymali ci, którzy w swoich życiorysach podali informacje świadczące o zainteresowaniu sportem i działalnością organizacyjną. Najwięcej miejsc przewidziano dla studentów Wydziału Nauk Społecznych i Wydziału Historycznego.

Na co uczestnicy mogą liczyć? Zdobycie uprawnień Akademickiego Organizatora Sportu upoważnia do społecznego organizowania i prowadzenia zajęć oraz rozgrywek sportowych dla studentów i pracowników uczelni wyższych. Wszyscy uczestnicy kursu otrzymają legitymacje uprawniające do bezpłatnego wstępu na imprezy sportowe organizowane przez Akademicki Związek Sportowy na terenie całego kraju. Każdy może liczyć na zaproszenie do stałej współpracy z Klubem Uczelnianym AZS - najliczniejszą dzisiaj organizacją młodzieżową na terenie Uniwersytetu w Poznaniu.

Równoległe z kursem AOS w Sierakowie zaplanowano obóz sportowy dla zawodników Klubu oraz spotkania członków Parlamentu Studentów UAM.

Piotr Kuś

Wiadomości związkowe

W dniu 14 lipca 1993 r. przedstawiciele Komisji Zakładowych NSZZ "Solidarność" UAM, PP, AE, AM i AR w Poznaniu, na wspólnym posiedzeniu sformułowali stanowisko w sprawie stosowania ustawy z dnia 30 kwietnia 1993 r. o narodowych funduszach inwestycyjnych i ich prywatyzacji (Dz. U. NR 44/93 poz. 202) oraz pogłosek na temat planowanego powołania przewodniczącego i członków Komisji Selekcyjnej przed rozpoczęciem kadencji nowego Sejmu i Senatu RP. Stanowisko to przekazano przewodniczącemu KK NSZZ "Solidarność" Marianowi Krzaklewskiemu, sugerując dokonanie interwencji.

Oto obszernie fragmenty:

"Zwracamy uwagę Panu Przewodniczącemu, że ustawodawca w art. 15 ust. 3 określił skład Komisji Selekcyjnej następująco:

- 1) cztery osoby wybrane przez Senat,
- 2) jedna osoba wybrana przez Senat,
- 3) po jednej osobie wskazanej przez ogólnokrajowe organizacje międzyzwiązkowe i ogólnokrajowe związki zawodowe - reprezentatywne dla pracowników większości państwowych zakładów pracy,
- 4) dwanaście osób powołanych przez Prezesa Rady Ministrów.

Na Komisji Selekcyjnej spoczywają odpowiedzialne zadania, w szczególności ogłaszania konkursu w sprawie wylaniania kandydatów na członków rady nadzorczej funduszu i przedstawiania kandydatur właściwemu ministrowi tj. Ministrowi Przekształceń Własnościowych.

Zwracamy wobec tego Panu Przewodniczącemu uwagę na to, że z punktu widzenia tradycji prawa, pod rządami którego żyjemy, organ nie jest ukonstytuowany (nie istnieje) póki nie zostaną powołani wszyscy jego członkowie.

W tej sytuacji - ponieważ sprawa jest pilna - Komisje Zakładowe NSZZ "Solidarność" Wyższych Uczelni m. Poznania, sugerują Panu Przewodniczącemu:

- Podjęcie (choćby formalnych) działań w celu uprzytomnienia odpowiednim czynnikom, że póki nie zostaną powołani wszyscy członkowie Komisji Selekcyjnej, to z punktu widzenia prawa, Komisja taka nie istnieje a podjęte przez jej członków decyzje nie będą decyzjami Komisji Selekcyjnej. Z powołaniem jej należałoby zatem zaczekać do okresu po wyborach, aby mieć możliwość powołania wszystkich jej członków jednocześnie.

- W przypadku powołania członków Komisji przez aktualnego Prezesa Rady Ministrów - wszczęcie akcji nagłośnienia sprawy i uczulenia opinii publicznej i związkowej na to, że decyzje członków Komisji Selekcyjnej powołanych przez Prezesa Rady Ministrów w zakresie kompetencji przyznanych przez ustawę o narodowych funduszach inwestycyjnych i ich prywatyzacji z dnia 30 kwietnia 1993 r. nie są decyzjami Komisji Selekcyjnej, a więc są bezprawne".

POWSZECHNA KASA OSZCZĘDNOŚCI BANK PAŃSTWOWY KONTO OSOBISTE

Wygoda, oszczędność, dyskrecja!

- Oprocentowanie 14% (o 2% wyższe niż wkładów avista na książeczkach oszczędnościowych).
- Książeczka z czekami zastępującymi gotówkę.
- Zlecenia opłacania przez bank stałych zobowiązań (czynsz, telefon, energia, radio i RTV, raty kredytów, składki ubezpieczeniowe).
- Możliwość bezpośredniego wpłacania wynagrodzeń przez pracodawców.
- Karta bankowa PKO EKSPRES do automatów wypłacających gotówkę bez stania w kolejce do okienka.
- Możliwość blokowania kwot w celu uzyskania wyższego oprocentowania.

KONTO OSOBISTE, TO OSZCZĘDNOŚĆ CZASU I PIENIĘDZY!

Zapraszamy do naszych oddziałów i ekspozytur.

Najbliższa placówka - II O/PKO BP w Rydyнку Collegium Historicum.

Telegram dla doktorantów

Killam Postdoctoral Fellowships Faculty of Graduate Studies

Dalhousie University

Halifax, Nova Scotia

Canada

B3H 4H6

Osoby, które ukończyły doktorat w ostatnich kilku latach mogą ubiegać się o stypendium, które pokrywa podróż i 31.000 \$K na rok badawczy w Nova Scotia.

W grę wchodzi następujące dziedziny: biologia, biznes, chemia, ekonomia, filologia

angielska, historia, informatyka, matematyka, polityka, psychologia, psychologia wychowawcza, socjologia.

DU czeka na zgłoszenia kandydatów do 15 października 1993 r.

Należy przesłać:

- 1) życiorys,
- 2) program proponowanych badań,
- 3) nazwę wydziału, na którym kandydat pragnie prowadzić badania.

(za "Przeglądem Akademickim" nr 14/93)

Anegdoty akademickie

•
Doktor Mieczysław Kobylański, wybitny skandynawista, miał przez pewien czas trudności z uzyskaniem na Uniwersytecie etatu lektora. Były to lata pięćdziesiąte. Nie zrażony przeciwnościami, znawca języka szwedzkiego skompletował grupę studencką, zaklepał dla niej stałą audycję w programie radiowym dla zagranicy i uczył chętnych we własnym mieszkaniu przy ulicy Szamarzewskiego. Nie dość, że nie brał za to ani grosza, to zawsze częstował pyszną angielską herbatą.

•
Odbywa się egzamin. W sali kilka osób, robi się duszno. Profesor podchodzi do okna:
- Otworzę, nie ma tu żadnego orła, nikt nie wyleci.

Po egzaminie profesor opuszcza salę ze studentami i wraz z nimi kieruje się ku wyjściu. W drodze słyszy:

- To pan profesor też po schodach?

•
Bodajże pierwszym komendantem Studium Wojskowego na Uniwersytecie był podpułkownik Czesław Mazur, oficer frontowy, który rzeczywiście proch wachał. Jego ulubionym powiedzeniem było: im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju. Podobno jednak to nie on zgłosił rektorowi projekt urządzenia w auli uniwersyteckiej krytej strzelnicy. Według tego projektu, tarcze miały się znaleźć na podium dla orkiestry. Przy znacznej akustyce sali, niezłe by niosło...

(jaz - jon)



Wakacyjne incognito

